Nr. 24 (1277). Warszawa, 24 (11) Czerwca 1905 r. **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom naszym przypominamy termin odnowienia prenumeraty kwartalnej i półrocznej.

POLITYKA

Widoki pokoju.

Trzy tygodnie już mijają od pierwszego urzędowego odezwania się prezydenta Roosevelta do obu stron wojujących, a rzeczywiście na stole dyplomatycznym nie widać nawet jeszcze piór, mających zapoczątkować zgodę, na widowni zaś wojennej krew leje się po dawnemu, jak w dniach poprzedzających Liao-jangu i Mukdenu pamiętne dla Rosyi, nieobojętne dla świata pogromy. Leniwym krokiem zbliżające się układy istotnie o pokój już, a nie o jego ceremonie, o jego rękojmię najpierwszą—zakończenie walki, nie mają dla siebie dość jasnej i silnej woli: i ona również leniwo się wlecze i ogląda poza siebie, czyby wojna nie lepsza była od pokoju. Gdy rozbicie pod Tsu-szyma wygnało już radykalnie egoizm i rozbudzoną przezeń wyobraźnię z przestworów morskich, cała nadzieja, wszystkie nadzieje, nieraz w życiu okazujące się dla człowieka jędzami—zleciały się nad pola Mandżuryi. Generał Liniewicz wraz ze wszystkimi swymi podwodzami przysłał do Petersburga zaręczenie uroczyste, że pokój może tylko wydrzeć Rosyanom zwycięztwo; Ojama znowu, pewny swego, prócz zaręczeń mający za sobą i zwycięztwa dawne, rwie się do nowego, aby niem uprzedzić pokój i wpłynąć na wspanialsze jego dla Japonii ukształtowanie. Po za głównymi działaczami i tu i tam stoją chóry narodowe i niechęci ich ku pokojowi dają rezonans potęgujący opór.

Ten pokład z szumu mórz pod melodye, wyśpiewywane przez indywidua, jest i rzetelniejszym i naturalniejszym po stronie japońskiej. Opinia publiczna Niponu, wskutek powszechności oświaty będąca głosem samego ludu, ma za sobą i jędrniejszą prawdę i ściślejszą logikę. Stronnictwo wojenne jest w Japonii szczerem, więc i liczniejszem, bez porównania liczniejszem, niż w Rosyi: rzeczywistość daje mu granitową podstawę,ubiegłe wczoraj wytyka kierunek nadbiegającemu jutru, myśl pędzi po niezałamanej linii zwycięztw, instynkt, który kazał chwycić za oręż, nie pozwala odrzucić go przedwcześnie. Japończykom idzie o życie; polityka rosyjska chce tylko postawić na swojem, utrzymać się na raz zajętej pozycyi, zastępując wiarę uporem, ma z niego zarazem swą godność i godności tej coraz to nową uporczywością broni. Hr. Lamsdorff, który lekceważeniem Japonii, zmusił do walki, admirał Aleksiejew, który niesłychanych pełnomocnictw swoich użył nie na zwycięztwa, nie na zaszczytną obronę przeciw Japończykom na morzu, ale na rozpalenie tej wojny,—nie są rzecznikami narodu, dającego swoją krew i pieniądz na cele według pamiętnego wyrażenia się pana Suworina w *Now. Wremia*, niepozwalające się ująć w pojęcie wojny kolonialnej, jako drogi do ich dopięcia.

Wpływ obu tych ludzi na kierunek woli, mającej już bez ogródek, bez dwuznaczności bez ciągłych odpływów i przypływów fali, prosto szczerze, stanowczo podjąć sprawę pokoju, jest fatalnym. Powiedzieć nawet można, że dopóki ci dwaj ludzie stoją, gdzie stali dopóty polityka rosyjska nie wydobędzie z siebie istotnej chęci zakończenia wojny. Dopiero z ich ustąpieniem będą mogły stanąć u steru dążności pokojowe. Za sprawą tych dwóch ludzi dotychczas układy tak się włoką, że Napoleon już-by z gniewu nie jedno, ale dwa zwycięztwa odniósł i z nich wytworzył sobie rozstrzygające już ostatecznie argumenta. P. Lamsdorff opiera się nawet zawieszeniu broni. Jeżeli dotychczasowe doświadczenia jeszcze nie wystarczają—czyliż stronnictwo, które je ściągnęło na Rosyę, chce ją nowemi jeszcze przekonać.

Wskazówką przemagającego rozsądku i poczucia obowiązków względem powszechności będzie dopiero rozpoczęcie układów o zawieszenie broni, które najodpowiedniej w danych okolicznościach zostawione być powinny samym wodzom naczelnym. Będzie to niejako przemożenie ich gorączki wojennej, ich żalu, że pokój zburzy im, mniejsza o to jak silne i jak obwarowane, ich nadzieje. O tem już gwarzą i bąkają dziennikarze zachodni od tygodnia. Teraz świeżo z Waszyngtonu donosi depesza że pp. Cassini i Takahira o zasady rozejmu przedwstępnie układać się mają. Oczywiście, mogą to być tylko wywiady. Telegraf nowoczesny zmienił, ułatwił ogromnie bezpośrednie działania rządów; telegraf też teraz pomiędzy nimi a ich przedstawicielami będzie posłańcem niestrudzonym. Nie chodzi tu o same tylko rzeczy wojenne. Rozejm obejmie i preliminarya pokoju: do tego przynajmniej dąży, dążyć musi Japonia. O warunkach pokoju mówi się niezawodnie już teraz pomiędzy sobą, ale jeszcze ukrywa się to przed światem. I słusznie: każdy ma prawo trzymać drzwi zamknięte i spuszczoną kotarę. Tylko niech za temi drzwiami i za tą kotarą będzie rzeczywista robota. Układy o pokój—

będą nową wojną bezkrwawą, po przebytej krwawej. Każda ze stron postara się o jaknajwiększą wagę dla swych żądań lub oporu przeciw żądaniom: każda będzie chciała znaleźć poparcie postronne, któreby jej zapewniło powodzenie. Japonia liczyć może tylko na Anglię, że przynajmniej przeciwko niej się nie zwróci; Rosya ma ogromnego sprzymierzeńca w „niebezpieczeństwie żółtem", a tradycyjnych na Wschodzie azyatyckim przyjaciół we Francyi i Pruso-Niemcach. Chwila obecna jest chwilą badania gruntu w Paryżu i Berlinie. Postawa Ameryki, niezmiernie zagadkowa, dla Japonii musi być podejrzaną. Japonia ma teraz gorszego od Rosyi nieprzyjaciela koncert europejsko-amerykański,—w tej chwili dopiero widmo, za chwilę może już rzeczywistość.

PLATFORMA.

Kuryer narodowy, zaznaczając kontury naszych stronnictw politycznych i ich wzajemne stosunki, powtarza im ciągle: „Zawcześnie kwiatki, zawcześnie, jeszcze północ mrozem dmucha..." Podobne ostrzeżenia należą do najtańszych dowodów rozważnej mądrości, bo ten, co upomina, wydaje się zawsze rozumniejszym od tego, co czyni. Ale czy rzeczywiście zawcześnie? Czy te nasze partye są tylko konstrukcyami fantastycznych lub niecierpliwych umysłów? Już przede mną odpowiedziano w *Prawdzie*. Nadanie pożądanego kierunku woli ogółu lub pewnych grup społecznych oraz uświadomienie myśli zbiorowej wobec konieczných potrzeb życia — to nie próżna gadanina, to czyn, ogromnie ważny, bo poprzedzający wszelką działalność polityczną, dający jej oparcie. Dziś już nawet między cukiernianymi dyplomatami trudno byłoby znaleźć tak naiwnego, któryby uwierzył, że politykę tworzą jednostki, niezależnie od mas, ochotnicy, którym przypadkowo wpadła do głowy idea „przewodniczenia narodowi" i „wprowadzenia go na nowe tory". Na wszelkie tory wchodzi naród wtedy dopiero, kiedy sam uzna to dla siebie za korzystne a przywódcy są tylko jego doradcami. Ta więc robota przedwstępna, przygotowawcza, regulująca chcenie i oświecająca rozum żywiołów społecznych, byłaby wielce doniosłym aktem politycznym, gdyby nasze partye posiadały wspólną platformę.

Większość czytelników zapewnie wie, że tem mianem politycy rosyjscy nazwali podstawę, na której stanęły wszystkie ich stronnictwa bez względu na szczegółowe różnice przekonań, dla łącznego przeprowadzenia kampanii reformatorskiej. I tylko dzięki temu zjednoczeniu się dla określonego przedsięwzięcia i zawieszeniu rozbieżności dążeń mogli oni dokonać tego, co już osiągnęli lub niezawodnie osiągną. Otóż takiej platformy partye polskie nie mają, chociaż ona istnieje w rzeczywistem położeniu narodu i przez jego interes jest im wyraźnie wskazaną. Wieczni i nieuleczalni doktrynerzy będą sobie wzajemnie wydrapywali oczy o lada drobiazg wobec niebezpieczeństwa, które ich pogodzić winno; dzieciaki polityczne, dające z siebie widowisko sentymentalizmu przeciwnikom, którzy umieją zużyć i wyzyskać na swą korzyść wszystkie czynniki i warunki realne; zapamiętali harcownicy po stepach teoryi i łamiący karki w dołach praktyki; chambordziści, wyrzekający się nawet tronu dla utrzymania w nietykalności herbu, sekciarze, padający pod chorągwią, wyobrażającą jakiś ledwie uchwytny odcień dogmatu — to my! Nie dlatego więc nasze partye są bezsilne i bezpłodne, że są źle lub przedwcześnie wytworzone, ale dlatego, że nie występują łącznie, że nie mają „platformy". Każdej się zdaje, że sama przez się przeważy szalę losów narodu i przedewszystkiem powinna spędzić z pola inne. Zamiast rozumnej taktyki sojuszowej grup rosyjskich widzimy u nas denuncyacye, potwarze, kłamstwa, wzajemne spychania się z gruntu społecznego, albo poprostu zwyczajną szczekaninę jakiegoś *Gońca* lub *Głosu*. Zamiast polemiki i odważania zasadności programów należałoby maniakom i krótkowidzom powtarzać:

— Chwila jest wielka, a wy w niej mali. Karmicie swój mizerny egoizm a ogładzacie interes ogółu. Przepaskudzicie obecną sprawę, jak wasi kłótliwi przodkowie przepaskudzili wiele podobnych. Wy nie jesteście zdolni do żadnego trwałego czynu, tylko do sprzedawania drobiazgów w straganie i do wymyślania sąsiadom. Gdy powiadacie, że nie ustąpicie ani na włos ze swoich przekonań i nie odroczycie ani na godzinę swych żądań, to nie należy w was podziwiać niezłomnych bohaterów — ale w najlepszym razie—ślepych fanatyków, którzy rozdeptani przez rzeczywistość krzyczeć będą pod jej stopami: niech żyje fikcya!

Go—on.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Waszyngton podtrzymuje, jak umie, żar po koju: dmucha, dmie i patrzy, czy jasny już płomyk nie wybuchnie; dotychczas jednak doczekać się go nie może. Dokazał przecież tego, że pp. Cassini i Takahira porozumiewają się już z sobą bez pośrednictwa p. Tafta, zastępcy Haya na urzędzie sekretarza stanu i zarazem ministra spraw zagranicznych. Ta bezpośredniość sama przez się daje już dobrą wróżbę zazębienia się o siebie dwu kół, w przeciwnym dotąd wirujących kierunku. Obrano już Waszyngton na miejsce przyszłych układów, mniej dbając o Hagę, jakby rezydencyonalne miasto idei pokoju, nagle z kopciuszka na tron wyniesionej, ale kopciuszkiem między panującymi wciąż jeszcze będącej. Nacisk na wolę wywierają namysły własne każdej strony, ale wywierają go także i argumenta strony przeciwnej, wygłaszane rykiem dział. Zwłaszcza na postanowienia Rosyi ma ta wymowa wpływ rozstrzygający wywrzeć. Ojama rozpoczął natarcie większemi masami: działają już całe dywizye. Zwolna na jedną nawija się druga, na drugą nawinie się trzecia i może przyjdzie w tym jeszcze tygodniu do

---

BOHOWITYN.

Z POGROMU.

Wstawiłem się... Siedzę w szynku... jestem pijakiem. I cóż z tego? Tem lepiej. Każdy pijak daltonizuje; wszędzie spostrzega jedną tylko barwę: ugodową.

Chociaż ma zły los... marny... choć go gniecie stopa bliźniego i wszystko odstąpiło, nadzieja, ta faktorka życiowa wciąż mu dotrzymuje kroku.

Jutro—mówi—potem... kiedyś... Skoro ci źle na świecie, pociesz się—szepcze—potrwa to niedługo. Życie cię trochę poszarpie, ale za to po śmierci używanie.

Ho!.. ho!.. I jakie jeszcze!..

Każdemu będzie dano wedle jego pożądania.

Ci, co się śmierci boją posiądą wieczne życie; żałujący za swe winy łgarze i różne rzezimieszki będą wciąż oglądac Dobro i Prawdę; skatowani życiem utoną w niebycie; lubieżników otoczą kobiety cudne... do wyboru. Wszystko zależy od kultu, którego jesteś wyznawcą.

A i samo życie... Choćby najnędzniejsze... Zawsze coś niecoś upiecze się człowiekowi.

Ot taki szyneczek! Podły... A jednak płynie tu źródło pocieszenia.

Po jednym... po drugim... po trzecim... czmychają troski.

Dzieci złodzieje—tem lepiej—chleb pewniejszy... Córkę prostytutkę zabito — a więc — przestała cierpieć... Dwie żony umarły—baba z wozu...

— Jesteś pan pijakiem—mówi mi naczelnik—od nowego roku nie masz posady.

Od nowego roku? Mógłby mi wymówić od pierwszego następnego miesiąca.

Panie naczelniku!—skomlę.—Nie byłem zawsze takim... Uczyłem się... pracowałem... Życie mi daje tylko cięgi... Mam straszne zmartwienie...

— Nikt nie zasypia na różach—odpowiada mi surowo.

Z ust jego dolatuje zapaszek doskonałego wina i wytwornego tytoniu.

Usiłuję zapaszek ów wygraniczyć z przestrzeni i wciągnąć w siebie.

Zawszeć to coś...

Już po czwartej... głód mi skręca kiszki. Panienko!.. Proszę o buteleczkę takiej samej, jak wpierw — i coś przetrącić... A prędzej!...

Poszła szelma,... kręci się... zęby sprzedaje... A tu aż mgli.

Człowiek ma swoję metę... Dotrze do niej... dobrze mu... Nic niema gorszego, jak tak... w pół drogi... .

Sęp niedostatecznie nasycony mści się... Szpony do wnętrza zapuszcza...

A stamtąd powstaje jakaś moc straszliwa, zabójcza, jak z pól zadżumionych... Mózg omdlewa z bólu... w ohydzie, w pokorze o litość błaga, o przytępienie wyczuć!..

Idą straszne mary. Wiodą cienie za ręce... Krzyk rozpaczy wydzierają z piersi...

Poszła, psia krew... Nie wraca... Wódki jak niema tak niema... A tu coraz więcej mgli... Mogiły patrzą bielmem... a pomsta, jak hyena, trupia pracownica, szuka żeru—winowajcy.

Każdy człowiek jest sprawcą swego losu—mówią.

Bydło!

To „coś" tajemnicze, jak psia apteka, wlecze człowieka po tej lub owej ścieżce.

Moja była piaszczysta, upalna... oddychałem z wysiłkiem.

Żona umarła.. troje dzieci zostało. Po dwóch latach wziąłem drugą... Jasną... szczupłą... cichą. Lubiłem takie. Ale kobiety nie wytrzymują biedy, ciągłego skwierczenia... mrą, bestye, jak muchy. I moja zmarła. Dziecko po niej zostało... Jasne, szczupłe... Miałem ich teraz czworo...

Nie chciałem brać trzeciej żony, bom się nowych dzieci obawiał. W domu była dziewka zła, swarliwa. Zrobiłem z niej gospodynię. Rękę miała ciężką. Dzieci bywały pokaleczone. Biłem ją za to!

Biłem z rozpaczy... z niemocy.

Bieda była w domu, chociaż pracowałem gorliwie, tak że mi naczelnik podwyższał co rok pensyę o pięć rubli. Nie wystarczało.

Bachory włóczyły się, nie było ich komu pilnować; wreszcie rozpierzchły się.

W domu została jedna, ta... po drugiej żonie.

większej rozprawy, którąby musiała już coś stanowczego wnieść do dzisiejszej chwiejności. Gdyby zwyciężyła Rosya, pokój byłby podanym w wątpliwość; zwycięztwo Japonii musiałoby go przyśpieszyć.

Sprawa marokańska jest przedmiotem układów bardzo usilnie, z wielkiem poświęceniem czasu i dyalektyki dyplomatycznej prowadzonych przez pp. Rouviera i Radolina. Francya skłania się do propozycyi niby sułtana Abdul Assiza, a właściwie cesarza Wilhelma—propozycyi konferencyi ogólnie-europejskiej, którą przewiduje uchwała pierwszej takiej narady, odbytej w r. 1880 w Madrycie. Anglia gra rolę Achillesa pod namiotem, upierającego się przy tem, aby nie wyjść do Greków, i przyjaciółka z d. 8 kwietnia 1904 r. w dość oryginalny sposób, ona, głównie i najbezpośredniej interesowana w tem, aby właśnie do konferencyi nie przyszło, dokłada wszelkich starań, aby opór przeciwko niej w ministrach angielskich złamać. Anglicy są więc gorliwszymi Francuzami od samych Francuzów. Na usprawiedliwienie swoje p. Rouvier, któremu sprawy zagraniczne tak się podobały, że skarb z rąk swych wypuścił, aby pochwycić stosunki międzynarodowe, rozgłasza w dziennikach, że, zgadzając się na konferencyę, chce mieć z niej tylko notaryusza do przyjęcia aktu umówionego pierwej z samemi Niemcami. Jaką ma być ta umowa, jak się już zarysowuje, czy nie zmieni zasadniczo kontraktu angielsko-francuzkiego, czy nie wyciśnie na Francyi piętna ustępstwa przed Niemcami? — o tem wszystkiem milczenie. Nawarzył też piwa, nawarzył Delcassé, szczęśliwy, że za niego inni je wypiją.

Prawo o rozdziale kościoła z państwem wyszło z rozpraw Izby zmienione na korzyść duchowieństwa. Podniesiono mu emeryturę, uwolniono budynki do obsługi religijnej służące od czynszu dzierżawnego, a utrzymując prawo własności przy gminach, ograniczono ich prawo rozporządzania się w interesie kultury, wiedzy i poczucia pięknotwórczego umyślnym przepisem o nietykalności zabytków do historyi sztuki należących. Nienawiść ku katolicyzmowi nie powtórzy już sceny burzenia grobowców w Saint-Denis, a wandalizm merów nie będzie mógł pastwić się nad pomnikami wiary religijnej.

Gdzieindziej zabijają winnych i niewinnych w imię idei, która ma kiedyś zapanować na świecie; w Grecyi padają ministrowie pod nożem z pobudek najzupełniej filisterskich a najniegodziwiej osobistych. Tak zginął prezes gabinetu Delyannis, z ręki jakiegoś głupca, obrażonego w prywatnych swych interesach. Ministrowie dopominają się u króla, aby im na przewodnika dał niejakiego Romę, o którym Europa nic jeszcze dotąd nie słyszała.

Do Chrystyanii doszła już odpowiedź króla na historyczną uchwałę storthingu. Oskar II zbija w niej teoremat demokratów norweskich. Demokraci mają mu odpowiedzieć z całem umiarkowaniem, trzymając drzwi otwarte dla księcia szwedzkiego. Podobno otwierali je przed uchwałą dla jednego z książąt pruskich, ale sam cesarz Wilhelm oblał ich zimną wodą. Według pogłosek Szwedzi chcą dla siebie zagarnąć podbiegunową krainę Norwegii Finnmark, zachodzącą na Szwecyę. Usposobienie wciąż jeszcze niewojenne.

ŻYCIE SPOŁECZNE

LISTY GALICYJSKIE.

Rewizya podręczników szkolnych. — Zjazd „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych“.—Stowarzyszenia młodzieży a klerykali. — Wycieczka do Rzymu. — „Związek rodzicielski“.—Konkurencyjne gimnazyum żeńskie w Krakowie.

Niebawem mają wejść w życie nowe czytanki w galicyjskich szkółkach ludowych. Wychodząc ze stanowiska, że dotychczasowe nie odpowiadają swemu zadaniu w należytej mierze, Rada szkolna krajowa powołała jeszcze w r. 1902-im nauczycielstwo ludowe do utworzenia w każdym okręgu komisyi, w celu rozpatrzenia materyału naukowego w obecnie używanych podręcznikach szkolnych i poczynienia wyboru do nowych czytanek. Obecnie nakładem Rady szkolnej krajowej wyszła broszura, zawierająca wyniki tych prac komisyj i streszczenia ich opinii. Niestety Rada szkolna krajowa niezmiernie uszczupliła zakres swobody krytyki, gdyż ograniczyła ją wyłącznie do strony pedagogicznej przedmiotu. Instrukcya Rady mówi, że książki do czytania muszą zawierać jak najobfitszy materyał, bardzo starannie wybrany, zestawiony i przygotowany, zastosowany ściśle do pojęć dzieci. Jeżeli „Elementarz“ co do zakresu pojęć, na które zwraca uwagę dzieci, obraca się głównie w granicach rodziny i domu rodzicielskiego tudzież kościoła i szkoły, to książka na klasę II może objąć miasto rodzinne i jego otoczenie. Otóż, co do tych dwóch stopni czytanek szkół ludowych, wszystko jest w porządku, ale już przy III i IV-ej książce do czytania występują dziwaczne anomalie. Albowiem III książka może rozszerzyć granice swej treści na „cały kraj rodzinny“,—książka na klasę IV może niemi objąć w ogólnych zarysach całą monarchię. Co to jest „kraj rodzinny?“ Dla ucznia galicyjskiej szkoły ludowej jest to Galicya Zachodnia i Wschodnia, te obrzynki Rusi i Małopolski, które zamknięte są z jednej strony Zbruczem, a z drugiej granicą Śląska. Obrzynki te traktowane są, jako całość odrębna, co stwarza szereg dziwolągów geograficzno - etnograficzno - historycznych. Dla Polaka powiat buczacki lub kołomyjski jest „krajem rodzinnym“, tak samo, jak dla Rusina Krakowskie lub Tarnowskie, gdy tymczasem dla pierwszego Mazowsze lub Wielkopolska, tak samo jak dla drugiego Wołyń albo Połtawszczyzna są krajami najzupełniej obcymi. W klasie IV-ej Polak i Rusin uczą się historyi Solnogrodu, Styryi i innych krajów austryackich, najzupełniej dla nich obcych, daleko szczegółowiej, niż historyi własnego kraju jedynie tylko dla tego, że te prowincye mają szczęście należeć do domu Habsburgów. Charakterystyczne, że w podręcznikach galicyjskich wiadomości z historyi austryackiej są podawane w bardziej obfitych dawkach, aniżeli w podręcznikach Niemców austryackich, przeznaczonych dla dzieci niemiec-

---

Palcem jej tknąć nie pozwoliłem, kochałem bez miary. Dobra była, łagodna, szczupła i cała jasna, jak odbicie światła. Piękna.

Spostrzegli to wkrótce samcy i zaczęli ściągać.

Błądzili koło mego domu, zaglądali do okien, pod różnymi pozorami włazili do mieszkania. Żonaci, kawalerowie, starcy, studenci, uczniaki, proletaryat. Szli, jak szarańcza.

Wszędzie ich spotykała, stawali na jej drodze z darem, z namową, z suggestyą.

Zacząłem się bronić.

Przestałem uczęszczać do biura. Zaczajałem się, oblewałem pomyjami, gorącą wodą, najwytrwalszemu przetrąciłem głowę.

Zagroziłem wreszcie rewolwerem.

Wówczas przestali chodzić, ale nadciągnęła inna plaga: faktorzy, faktorki.

Te ostatnie zwłaszcza, działały chytrzej, skuteczniej.

Zmogłem się.

W biurze zagrozili mi utratą posady za nieregularne uczęszczanie na służbę.

W dziewczynie spostrzegłem ogromną zmianę i przestałem się bronić.

Prostytutka od lat piętnastu.

Wracałem z roboty, ona szła na robotę.

O przyszłości już nie myślałem.

Byłem, jak człowiek wciągany przez grzęzawisko w toń śmiertelną, który odruchowo chwyta ustami powietrze.

Spirytualya pomogła.

Po jednym, po drugim, po trzecim, myśl zaczynała wyprawiać coraz to zawrotniejsze koła, wreszcie traciła świadomość.

Od roku już jestem sam. Wyprowadziła się z mieszkania. Widywałem ją rzadziej..

W zeszłą niedzielę przyszła.

Była czegoś zafrasowana.

— Chodź — mówię — napij się ze mną wódki.

Skrzywiła się.

— Gdyby tak likier waniliowy, tobym się napiła.

— A cóż to ja „gość“, żebym ci likier stawiał.

Pomyślała chwilę.

— Dobrze, będę z ojcem piła, ale niech mi ojciec da trzy ruble. Ojciec niedawno wziął pensyę.

— Na co ci te pieniądze?

— Na białą bluzkę. Bo, widzi ojciec „goście“ lubią biały kolor. Lubią, żeby zupełnie jasno się ubierać, a jak nie, to, żeby chociaż mieć białą bluzkę. Ale to kosztuje, bo zaraz łapami powalają.

— Powiadasz... łapami, szelmy, powalają... No gadaj... gadaj dalej... Albo poczekaj... wypiję odrazu dwa...

Sępy mię obsiadły i rozszarpują ropiącą się ranę.

— Ileż ci płacą?

— Rozmaicie. Kolacya, spacer na gumach, pięć rubli, czasem mniej. Ja mniej nie biorę, bo mam dobrą markę: Tak się postawiłam. Ale i z tych mało zostaje. Trzeba dać faktorowi, lokajom, policyi. Ten „gość“, co dziś hula jest, bardzo bogaty, ale on lubi biały kolor i ja muszę mieć koniecznie białą bluzkę. Więcej zarobię. Niech mi ojciec da, jutro rano oddam ojcu.

— Precz!..—podniosłem pięść, zdjęty nagle nienawiścią do dziewczyny.

Odskoczyła i ręką wprawnie osłoniła głowę.

Nigdy jej nie biłem. Kto ją nauczył od razów się zasłaniać?

— Biją cię?

— Biją.

— Kto?

— „On“ a niekiedy „goście“. Biją mnie a nawet lustra, szkło. Najwięcej bije „on“.

— Za co?

— Bo nie zawsze chcę „gości“ bawić... Zmęczona jestem, a niekiedy mam do kogo wstręt... „On“ podsłuchuje pode drzwiami i gdy mu się co nie podoba, daje mi umówiony znak i ja przychodzę, muszę przyjść, bo byłoby gorzej. Wówczas bije mię, kopie nogami; każe wracać i być wesołą z „gościem“.

Pierś mi gniecie ciężar nie do wytrzymania.

Innym razem—ciągnie dalej — podejrzewa, że mu nie wszystkie pieniądze oddałam i bije... Oh!.. wtenczas najgorzej bije... zadrżała i na ręku jej ukazała się gęsia skórka.

— Więc „on“ ci wszystko zabiera?

— Nie. Naddatek do mnie należy. Jeżeli „gość“ jest dobry, to da dla mnie złotówkę, albo i więcej. To już moje. Uzbieram z parę złotych i wydam na to i na owo. Czasem Klarze oddam. Chora. Frajer ją wygnał na bruk. Do szpitala wzięli. Ja

kich. Już to lojalizm austryacki odgrywa w podręcznikach galicyjskich nadzwyczaj wybitną rolę — i czy się coś pod tym względem teraz—w nowych czytankach—zmieni nie wiadomo, choć opinia publiczna oddawna już sarka na te ekstrawagancye i nauczycielstwo wypowiada się przeciwko nim niedwuznacznie.

Na świeżo odbytym zjeździe „Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych" z pociechą stwierdzono, że „w oczach naszych ginie typ nauczyciela urzędnika, a jego miejsce zajmuje typ nauczyciela-pedagoga," który liczy się nie z szablonami austryackimi, lecz z potrzebami własnej młodzieży. Nowoobrany przewodniczący tego stowarzyszenia, skupiającego około 1000 członków, prof. Kazimierz Twardowski zaznaczył, że jakkolwiek sam jest wychowańcem szkół niemieckich i wie, jak system niemiecki wygląda, uważa jednak za błąd, kopiowanie go przez Galicyę. My mamy—twierdził—w przeszłości naszej wzory lepsze. Musimy się wyemancypować z pod wpływu niemieckiego, uzupełnić ustawy duchem naszym i nawiązać do tego, co nam przekazali właśni przodkowie. Słowa prof. Twardowskiego, sympatyczne jako program, zapewne nie tak jeszcze prędko wejdą w życie, gdyż w Radzie szkolnej wciąż jeszcze pokutuje duch biurokratyzmu austryackiego, utrwalony tam przez takich Bobrzyńskich i im podobnych. Wszak ostatnia reforma Rady, zainicyowana przez Bobrzyńskiego, a sankcyonowana przed paru tygodniami, uszczupla charakter autonomiczny tej najwyższej instytucyi oświatowej w kraju. Przeciwko temu ostro wystąpił zjazd „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych", przyjmując jednogłośnie prawie bez żadnej dyskusyi, odpowiednią rezolucyę. Szkoda że ta rezolucya przyszła zapóźno i wskutek tego nic nie zmieni w zapadłych i zatwierdzonych ustawach.

Z pomiędzy spraw, rozpatrywanych na zjeździe wyżej wzmiankowanym, na uwagę zasługuje kwestya związków i stowarzyszeń, zakładanych przez władze szkolne pomiędzy uczniami szkół średnich.

Wśród młodzieży galicyjskiej tworzą się, jak i wszędzie, kółka samokształcenia, które z biegiem czasu nabierają charakteru politycznego i są prowadzone w duchu tej czy innej partyi. Narodowi demokraci posiadają takie kółka, skupiające się dokoła pisma „Teka", żywioły postępowe wytworzyły organizacyę „promienistych" (od organu „Promień"), klerykali znowuż tworzą z młodzieży szkół średnich związki znane pod nazwą „sodalicyj". Rusini mają swoje, syoniści — swoje. Otóż klerykali, chcąc zapewnić kierowanym przez siebie organizacyom wpływ większy, domagali się podczas ostatniej sesyi sejmowej, ażeby w szkołach średnich były *ex officio* tworzone stowarzyszenia, ma się rozumieć pod opieką katechetów. Chodziło tu o wciągnięcie do związków klerykalnych całego zastępu tej młodzieży, która dotychczas unikała wszelkich „sodalicyj".

Sprawa tworzenia kółek młodzieży została postawiona na porządku dziennym zjazdu „Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych", ale we wniosku wydziału, przedłożonym zgromadzeniu, wyrażono przekonanie, że jakkolwiek pożytecznem jest tworzenie w szkołach czytelń oraz kółek dla nauki i rozrywki z udziałem i kontrolą nauczycieli, to jednak sprawy religijne i polityczne należy z programu tych szkół wykreślić. W takiem sformułowaniu sam wniosek tracił wszelki sens dla klerykałów, to też wystąpili oni energicznie przeciw niemu. Rzecznikiem ich był ksiądz Pechnik. Uderzył on ostro na zastrzeżenie, dotyczące spraw religijnych i politycznych, i otwarcie bronił tworzenia bractw religijnych wśród młodzieży. Twierdził on, że wobec panującego zepsucia, tylko bractwa religijne mogą coś zrobić—tylko one mogą się przyczynić do umoralnienia młodzieży!

Argumenty te jednak nie przekonały zebrania, które uchwaliło następującą rezolucyę prof. Twardowskiego: „Wolne Zgromadzenie uważa za rzecz w najwyższym stopniu pożądaną, aby nauczycielstwo szkół średnich popierało czynnie jak dotąd, tak i nadal wszelkie dążenia młodzieży do samokształcenia, do zajęć artystycznych, zabaw, gier sportowych i t. p. Natomiast oświadcza się stanowczo przeciwko wprowadzaniu wśród młodzieży szkół średnich jakichkolwiek towarzystw, związków i wogóle organizacyi stałych".

Jak „umoralniająco" oddziaływa atmosfera bractw klerykalnych na należącą do nich młodzież, wie każdy w Galicyi, kto się bliżej przypatrywał osławionym „sodalisom" i ich kółkom.

Właśnie świeżo wyszły na jaw skandaliczne szczegóły, dotyczące wycieczki młodzieży do Rzymu. Została ona zorganizowana pod egidą arcybiskupa ks. Bilczewskiego przez dyrektora gimnazyum Gerstmanna, jako akt hołdu dla papieża Piusa X. Podążyło więc do stolicy apostolskiej przeszło 300 młodzieży „katolickiej"—członków rozmaitych sodalicyj i innych kółek, pielęgnujących najwstrętniejszą obłudę i świętokradztwo obok karyerowiczostwa i denuncyacyi. Razem z młodzieżą wybrało się liczne grono nauczycieli i około setki księży. Dozór więc był zapewniony. Na pokrycie części wydatków użyto zupełnie bezpiecznie funduszów, składanych przez młodzież na przyrządy gimnastyczne. Coprawda nie wyczerpano całego funduszu, tylko trzecią jego część, ale i to było bezprawie, gdyż fundusz ten jest składany przez całą młodzież, nie wyłączając jej części najuboższej.

W drodze złota młodzież „katolicka" piła na umór i zgrywała się w karty, czemu opieka nauczycieli i księży bynajmniej nie zapobiegła. Kiedy wycieczka stanęła w Rzymie, rozpoczęły się orgie prawdziwe po restauracyach, tinglach i innych przybytkach hulatyki. W dzień zwiedzano kościoły, spowiadano się wspólnie, przystępowano do komunii, a w nocy hulano. Nawet ultrakatolicki „Dziennik Poznański" z goryczą dowodził, że „wesołość" młodzieży polskiej w Rzymie wywołała wielkie zdziwienie. Wycieczka stawiła się oczywiście na audyencyi u papieża Piusa X, który pożegnał młodzież temi słowy: „Jeżeli więc na tej drodze wiernie wytrwacie, jesteśmy pewni, że światły wasz przykład wyjdzie wielu na dobre, tak że pobudzeni nim i przerażeni smutnym stanem tych, którzy błędom wieku hołdują, do was się przyłączą i w walce za dobrą sprawę będą się starali dorównać waszej gorliwości". Potem pobłogosławił ich, młodzież zaśpiewała „Serdeczna Matko" i rozeszła się do knajp i lupanarów, ażeby po trzech tygodniach powrócić do domu z błogosławieństwem papieskiem, świętemi medalikami i innymi amuletami oraz zarazkami rozma-

---

i Andzia nosimy jej ciastka. Pewnie niedługo umrze.

— Porzuć to wszystko... Wróć do domu!

— Za nic! — zerwała się z krzesła przerażona. Ja nie mogę. „On" zabiłby mnie. Wszędzieby mnie znalazł... U nas tego niewolno... Nie „on" toby mię jego towarzysze zabili... Oni się razem trzymają... Jeden za drugiego... Nie mogę za nic.

Porwała żakiet i zaczęła go wciągać na siebie.

— Poczekaj... Przecie cię siłą nie zatrzymuję... Tak tylko mówię... W domu byłoby ci lepiej... Niktby tu ciebie nie bił. I także nie pracowałabyś.

— Nie, nie... Niech ojciec nie namawia daremnie... Tu...' smutno.

— Dawniej nie było ci smutno. Będę z tobą chodził, dokąd zechcesz. Wszystko, co zarobię, oddam ci do rąk. Dawniej lubiłaś swój dom.

— Lubiłam. Było mi tak dobrze, jak nigdzie. Ale teraz jużbym tu nie wytrzymała. Niech ojciec nie prosi. Ja już w nocy spać nie potrafię... Cały dzień drzemałabym, a w nocy ciągnęłoby mię na ulicę.

— Na mróz?

— A choćby na mróz, na deszcz. Przyzwyczaiłam się już. Latarnie mrugają... ulice szerokie, puste... Czasem deszcz mży... nogi mdleją... Snu nie można zmódz... Omdlenie w kościach... Pochylam się i, stojąc, śpię martwym snem... Ktoś mię trąca „Chodź". Nie mogę przyjść na razie do siebie.. Wstręt... rozpacz... Ale już się przyzwyczaiłam i tu nie mogłabym żyć.

— Więc tam lepiej, gdzie biją?

— No... niezawsze biją. Czasem bywa tak wesoło. Wreszcie ja już powiedziałam ojcu, że „On" zabiłby mnie. „On" przecie też pracuje, niech ojciec nie myśli, czasem stoi blizko mnie w ukryciu całą noc. A to krzywdziliby mnie wszyscy: inne dziewczęta, przechodnie, roznosiciele gazet. „On" mnie broni. Wreszcie bez niego byłoby mi smutno... Ja nie mogę bez niego...

— To idź sobie.

Milczy przez chwilę.

— Więc, jakże? Ojciec mi nie da tych trzech rubli?

Stoi przedemną szczupła, jasna, wychudzona, z oczyma suchotnicy i śledzi drapieżnym wzrokiem ruch mojej ręki, trzymającej portmonetkę.

— Masz. Weź sama!

Nie wierzy. Patrzy badawczo, palcami chudemi, jak pałeczki, prędko wyciąga pieniądze.

Bierze trzy ruble, a jeszcze jednego rubla zręcznie przerzuca w drugą rękę.

Złodziejka.

— Ojciec ma dziś dużo pieniędzy, proszę dać jeszcze dwa rubelki...

— Mój złoty! Mój drogi! To tak niewiele... Proszę dać... ja tak kocham... mój złoty...

Zbliża się do mnie... Oczy ma zimne bezmyślne... Usta ściągnięte skurczem przymusowego śmiechu... Kładzie je na mojej twarzy.

— Mój drogi... mój złoty... Tamte nie dla mnie... Zabiorą... Proszę mi dać na cukierki...—powtarza jakimś machinalnym głosem, jak gdyby te frazesy zżyły się tak z jej usty, że z nich, zlatują bez współudziału myśli.

Ręce jej błądzą po mojem ciele odruchem wczorajszego, może przedchwilowego występku.

Czuję na sobie te małe cienkie, zimne ręce i krew mi się w żyłach ścina z ohydy.

— Żenia!—dławi mię krzyk, a usta jakby objęte uściskiem paraliżu—milczą.

Odepchnąłem ją.

— Rubelka, tylko rubelka — przypada znów do mnie, z oczyma utkwionemi w przestrzeń, jak zgalwanizowany trup.

— Precz!

Nagle wstrząsnęła się, odskoczyła, na twarzy zbielała, w źrenicach streścił się cały ogrom zgrozy.

— Wielki Boże!... To ojciec...

Pieniądz wypadł z jej rąk i leży na podłodze szary, nędzny, a jednak groźny, jak motyw z którego płynie wielka symfonia dramatu życiowego.

— Ojciec...—szepcze.

Pochyliła się, podniosła pieniądze i uciekła.

. . . .

. . . .

. . . .

A później straszne widzenie!

Dzień zbryzgany słonecznymi błyski.

tych chorób wenerycznych. Epilog tej wycieczki katolickiej *ad limina Apostolorum* był bardzo niewesoły, gdyż władze szkolne musiały wejrzeć w całą tą sprawę i — w ciągu tego dnia wydaliły ze szkół kilkudziesięciu obiecujących młodzianów— nie za zbytek żarliwości religijnej oczywiście.

Kiedy już mowa o sprawach młodzieży, warto tu podnieść dane z działalności lwowskiego „Związku rodzicielskiego„, który w tych dniach odbył swe doroczne, walne zgromadzenie — tembardziej, że o sympatycznej tej instytucyi dotychczas jeszcze nigdy nie pisałem w swych „Listach”.

Istniejące od kilku lat stowarzyszenie „Związek rodzicielski” ma na celu podniesienie sił fizycznych i duchowych młodego pokolenia i dopomaganie w tym zakresie szkole. O charakterze pracy „Związku rodzicielskiego” najlepiej informuje nas jego sprawozdanie z działalności w roku ubiegłym. Na pierwszem miejscu stały t. zw. „Domy opieki” dla dziatwy najuboższej, niemającej częstokroć ciepłej izby i odpowiedniego światła, a nawet pozbawionej ciepłej strawy. Takich „Domów opieki” „Związek rodzicielski” utrzymywał w ciągu zimy 10, a w nich zapisanych było 1050 dzieci. Umieszczanie dzieci w domach tych było tak liczne, że w ciągu pięciu miesięcy wydano 59.049 porcyi herbaty. Jak potrzebne są takie „Domy opieki”, najlepiej świadczą umieszczone w sprawozdaniu tabelki, dotyczące warunków życia dzieci. Oto na 110 dzieci, uczęszczających do „Domu opieki” w szkole imienia Staszyca, 52 mieści się w ciemnych pomieszczeniach, 53 w wilgotnych, 34 mieszka z rodzicami kątem, 25 nie otrzymuje ciepłego śniadania i idzie do szkoły o kawałku chleba, 38 nie jada gotowanego obiadu, 8 chodzi bez koszuli, 51 nie ma całego obuwia, 42 chodzi bez paltocików, 23 nie ma całego ubrania, 44 dzieci ma rodziców, przez cały dzień pozostających po za domem. W „Domu opieki” szkoły żeńskiej im. Czackiego na 98 dzieci, 85 nie jada ciepłego śniadania. 90 nie jada gotowanego obiadu, 63 nie ma całego obuwia, 66 chodzi bez paltocików, 75 nie ma całego ubrania. Podobne stosunki panują i w 8-iu innych „Domach opieki”.

Od szeregu lat „Związek rodzicielski” urządza wycieczki w wszystkich szkołach żeńskich i męskich. W r. 1904 takich wycieczek było 212 w 14 szkołach ludowych z udziałem 21518 młodzieży pod nadzorem 27 sił nauczycielskich. Starania, jakie czynił „Związek rodzicielski” w kierunku zaprowadzenia we Lwowie kąpieli szkolnych, zostały uwieńczone rezultatem pomyślnym. W trzech nowych budynkach szkolnych zaprowadzono kąpiele natryskowe i wanienkowe. Za temi pierwszemi urządzeniami hygienicznemi pójdą dalsze, tak w budynkach szkół, które mają powstać, jak i w istniejących. Wydział „Związku rodzicielskiego” przeznaczył w r. ubiegłym na ten cel 400 koron.

Wprowadzony przez „Związek rodzicielski” przed trzema laty teatr „Urania”, mający na celu kształcenie uczuć społecznych wśród młodzieży, rozwija się bardzo dobrze. Rok ubiegły we Lwowie był poświęcony głównie kulturze Mickiewicza, którego życiorys, przedstawiony w 78 barwnych obrazach, tworzy w programie „Uranii” pierwszą seryę II oddziału, obejmującego „Poczet mężów zasłużonych”. Seryę tę powtórzono w 48 przedstawieniach, a oprócz tego dano we Lwowie 24 przedstawienia innych seryj. Razem urządzono 77 przedstawień przy udziale 12900 słuchaczy. Przedstawienia urządzano w szkołach, tak we Lwowie jak i na prowincyi, za opłatą 10 i 20 hal., przyczem znaczny procent dzieci miał wstęp wolny. Oprócz tego zaproszono prelegentów „Związku rodzicielskiego” do czytelń ludowych we Lwowie i na prowincyi, do udziału w zebraniach, uroczystościach i wieczorach, urządzanych przez towarzystwo oświatowe.

Obrót kasowy w r. ubiegłym wynosił 13340 k., a pozostałość na rok bieżący 6253.. Liczba członków wzrosła o 279, tak że obecnie „Zwiazek rodzicielski” posiada ich 825.

W miarę rozwijania się czynności towarzystwa i przenoszenia się jej na nowe pola, powstają nowe stowarzyszenia. Tak np. w roku ubiegłym powstała „Ochrona młodzieży”, której przewodniczącym został jeden z członków „Związku rodzicielskiego”. Pod egidą niejako tego ostatniego powstało „Towarzystwo zabaw dla ludu i młodzieży”, stanowiące właściwie odrośl „Związku rodzicielskiego”, snującą w dalszym ciągu zadzierzgniętą przezeń nić wychowania fizycznego wśród dziatwy. Wspólnie z tem towarzystwem „Związek ma się zająć w najbliższej przyszłości otworzeniem nowych boisk dla zabaw.

Byłoby bardzo pożądanem, aby za przykładem Lwowa poszły i inne miasta, tworząc podobne stowarzyszenia. Przydałyby się one zwłaszcza w Krakowie, gdzie nędza jest nie mniejsza, gdzie dziatwa szkolna potrzebuje takiej samej opieki i gdzie, po za parkiem Jordana, nic dotychczas w tym kierunku nie zrobiono. Dopiero w ostatnich dniach powstał projekt założenia parku ludowego na większą skalę. Projekt ten jest połączony ze zniesieniem, niewiadomo dla czego, utrzymywanego toru wyścigowego. Nie wiemy jednak, czy ten projekt dojdzie do skutku.

Żywioły konserwatywne zakładają z początkiem przyszłego roku szkolnego prywatne gimnazyum żeńskie, w celu stworzenia uczelni konkurencyjnej dla istniejącego w Krakowie od lat szeregu prywatnego gimnazyum żeńskiego. W ten sposób zakończyła się walka podjazdowa przeciwko temu ostatniemu—walka, o której pisałem w swoim czasie obszernie.

Daleki.

Groźne widmo.

Do wielu klęsk, które kraj nasz nawiedziły, może się dołączyć cholera. Widmo jej ukazuje się tak groźne, że oto ziemstwa z głębi Rosyi zwróciły się do warszawskiego biura wyszukiwania pracy z zapotrzebowaniem studentów wydziału lekarskiego i lekarzy dla walki z epidemią. Byłem w Baku w 1891 r., w okropne czasy jej grasowania w tem mieście nawskroś azyatyckiem, pozbawionem wszelkich warunków sanitarnych, gdzie śmierć kosiła setka-

---

Wyje szary tłum!

Prostytutki biją!

Hurra!

Fala tłumu wlecze mnie.

W głowie kotłuje się... Coś się pamięci boleśnie narzuca. Dokoła twarze chude, szczerniałe, tragiczne niemal w reakcyjnem napięciu energii.

Tłum zerwał się z łańcucha.

Czerń bije swoje własne naczynia...

Skoro fale żywiołowe wrócą do łożyska, lupanary otworzą gościnne podwoje.

Z okien lecą z ogłuszającym trzaskiem meble, zaściełają bruk tkaniny... Widzowie ryczą z uciechy...

Jakaś baba skomli z radości... Trzewia jej trzęsą się od śmiechu, palcem tka w przestrzeń, skierowując w jedną stronę uwagę towarzyszek.

Z rąk suchych, twardych wyrywa się kobieta chuda, napół naga.

Koszulę z niej zdzierają... za włosy ciągną...

Białe ciało mieni się wśród czarnych palców, które je gniotą.

Wyrwała się, pędzi ku mnie.

Żenia!

Żenia!—biją mi w uszach dzwony.

Żenia!—wali serce.

— Stójcie!.. Nie ruszajcie jej... Zabiję każdego!..

Przypadła do mnie... Oczy zamglone... nos się zaostrzył... na szyi krew.

— Zraniono cię?

— Nie, To z ust mi krew... Ja się boję... w ustach słono...

Stoi... drży...

Krew płynie po chudej piersi.

Nagle rozszerzyły się jej oczy... skupiła ramiona, ręką obtarła skrwawione usta, skoczyła na trotuar i wparła się w walczący tłum.

Ciężkie, robocze ręce tarmosiły wściekle mężczyznę o nikczemnej twarzy i szakalim wzroku.

— Alfons!.. Alfons!.. przeciągnęło złowrogo w tłumie.

Walczył zajadle.

Mignęły posiniałe twarze kobiet, które go broniły, jak bronią psy oprawcę...

W tym splocie ujrzałem skrawioną twarz Żeni...

Podniesione, stalowe pięści... błysk ostrza...

Zwarłem się z tłumem...

Pięściami walę.. w uszach mam wrzask szaleńca—mój własny...

Uciekają... kogoś powlekli... zrobiło się przestrono...

Przedemną na bruku leży napół naga postać... Jasne włosy... usta skrwawione... z boku krew bucha...

Poderwałem ją z kamieni i trzęsę.

Żenia!

Otworzyła oczy umierające, surowe, pytające—oczy sędziego.

Wtuliłem głowę w ramiona, ciało mi drganie podrzuca.

— Niewinien jestem—łka mi coś w piersi—nie potrafiłem cię obronić... Alem niewinien... Szli jak szarańcza, wytrwale, niszcząco i pozwoliłem cię cudną i jasną zawlec bezkarnym zbrodniarzom do rynsztoka... Cierpiałem staszliwie... Patrz, jam już nie człowiek... Życie się ze mną już nie liczy.. Bardzo cierpiałem...

Dusze nasze mówią, porozumiewają się, a oczy się zwarły w uścisku śmiertelnego męczeństwa, pohańbienia ofiar na krzyżu.

Westchnęła i ręce złożyła, jak zabity ptak składa skrzydła do snu wiecznego.

Zapomnienia!

. . . .

. . . .

. . . .

Słuchaj... ty! Dasz ty dziś wódki, czy nie? Prędzej, powiadam, bo bieda grozi...

Ha! wytrzeźwiłem się. Oczy mi krwawe zygzaki piszą... Skóra pęka na ściśniętej pięści...

Wódki!

Zapomnienia!

KONIEC.

mi znienacka zaskoczona i nieprzygotowaną ludność miejscową i okoliczną. Należałem do komitetu wytworzonego *ad hoc* dla niesienia pomocy dotkniętym epidemią; wówczas to zdobyłem spory zasób praktycznych spostrzeżeń i doświadczeń, któremi chciałbym się podzielić z szerszemi kołami.

Jakkolwiek przesadne obawy rodzą strach i zmniejszają odporność organizmu, to jednak niedostateczna ostrożność w czasie epidemii, choć nadchodzącej powoli i zrzadka tylko pojawiającej się w pobliżu, może w skutkach okazać się fatalną.

W 1891 roku zrazu dowiadywaliśmy się z telegramów z Petersburga o pojedynczych wypadkach zasłabnięcia to na granicy Persyi, to w Batumie nad brzegiem morza Czarnego po większej części pomiędzy pielgrzymami mahometanami, powracającymi z Mekki. Czytano, urządzano posiedzenia lekarskie, nikt jednak nie przypuszczał, że śmierć stoi już u progów, że spadnie jak grom z nieba. Prawie że pierwszym faktem, który przeraził mieszkańców, był zgon konsula włoskiego Stefanini, który zjadłszy obiad, zmarł nagle pomimo pomocy lekarskiej, spóźnionej wskutek tego, iż nie podejrzewał tak raptownego ujawnienia się epidemii w mieście. W pierwszej chwili nikt nie chciał wierzyć, że „to" się już zaczyna, w kilka dni potem epidemia rozszalała się już ze straszną siłą i całe miasto ogarnęła panika. Jedyna kolej i przystanie statków parowych oblężone były przez uciekających, z których wielu umierało po drodze w wagonach, na statkach. W przeciągu tygodnia prawie 100 tysięczne miasto opustoszało, fabryki stanęły, mieszkania porzucono otworem, pozostali tylko ci, co wyjechać nie mieli za co, lub których obowiązki zatrzymywały.

Oprócz organizacyi specyalnyh, złożonych z lekarzy, wytworzono komitety obywatelskie sanitarne z władzą administracyjną, zatwierdzoną urzędownie przez gubernatora miejscowego. Należałem do komitetu, którego działalność obejmowała dzielnice kopalni naftowych zamieszkane przez ludność najbiedniejszą, znajdującą się w najgorszych warunkach sanitarnych i rozrzuconą na przestrzeni paru wiorst kwadratowych.

Komitet składał się z 10 inżynierów i techników i z 2 lekarzy. Odbywał on codziennie wieczorem krótkie posiedzenia dla porozumienia się. Położenie było tak groźne, że rozchodząc się, nie byliśmy pewni, czy na drugi dzień wszyscy się zejdziemy. Zaraz na wstępie przekonaliśmy się, że niepodobna liczyć na doraźną pomoc samych lekarzy, którzy zawiadywali kolejno w jedną noc wybudowanym barakiem (dzięki energii zarządzającego kopalniami firmy Nobel). Pomoc więc doraźną, która okazała się najskuteczniejszą i jedynie prawie zbawienną, idąc za wskazówkami lekarzy i mając zawsze przy sobie odpowiednie medykamenta, postanowiliśmy nieść osobiście; pomagali nam ludzie zupełnie niewykwalifikowani, często nierozumiejący języka w którym zwracaliśmy się do nich. Skuteczność doraźnej pomocy na miejscu, w domu chorego, głównie polegała na szybkiem stosowaniu środków ratunkowych, a także i te miała ona dobrą stronę, że nie skrywano przed nami chorych w obawie zabrania ich do szpitala.

Chorym dawaliśmy kalomel, salol wewnątrz i rozcieranie spirytusem przy kurczach ciała. Prawie wszyscy chorzy, w moim rejonie, którzy przy pierwszych objawach, jakimi są wymioty i biegunka, wzięli kalomul a następnie salolu, wyzdrowieli.— Umierali ci, którym środki te zastosowano zapóźno, tj. wówczas, kiedy wskutek rozwinięcia się choroby i pewnego rodzaju paraliżu kanału przełykowego, nie mogli już połykać lub, połknąwszy, zrzucali.

Wówczas też dopiero z obserwacyi osobistych poznałem istotnie charakterystyczne właściwości cholery, a mianowicie, że pierwsze objawy, połączone z torsyami i biegunką, nie sprawiają żadnych bólów wbrew powszechnemu mniemaniu, a przeciwnie przynoszą ulgę, i że ten symptomat należy uważać za nieomylną oznakę cholery. Dla tego też wielu, nie wiedząc o tem, nie zwracało uwagi na pierwsze oznaki do chwili przejścia choroby w stadyum groźne: pojawienia się kurczów i zupełnego wycieńczenia organizmu.

Podając tę krótką notatkę z osobistych wspomnień, chciałbym zwrócić uwagę specyalistów lekarzy i odpowiednich instytucyi, czy nie należałoby u nas, w miejscowościach, gdzie pomoc lekarska jest ograniczona i nie może być doraźnie stosowana, zorganizować komitetów obywatelskich, z ludzi dobrze wyszkolonych i w środki potrzebne do walki należycie zaopatrzonych? Sądzę, że gotowych do spełnienia takiego obowiązku znalazłaby się dostateczna ilość.

Wobec tego, że przy silnych objawach epidemi chory często po upływie pół godziny nie może już przełykać, doraźna, natychmiastowa pomoc jest warunkiem życia.

W Warszawie lekarzy mamy dosyć,— warunki sanitarne stosunkowo lepsze, niż na prowincyi, gdzie większość wsi i miasteczek pozbawiona jest pomocy lekarskiej zupełnie; lecz tak tu, jak tam, działalności takich komitetów złożonych z ludzi odważnych, spokojnych i ofiarnych nic wogóle zastąpićby nie mogło. Komitety te powinny posiadać pewną, usankcyonowaną przez administracyę władzę, która pozwalałaby im, prócz niesienia bezpośredniej, pomocy stosować inne środki ochronne, jak zabranianie sprzedaży i niszczenie szkodliwych produktów, zamykanie sklepów utrzymywanych nieczysto, a nawet wykonywanie pewnych robót i przeróbek na koszt gospodarzy domów w celu doprowadzenia danego lokalu do stanu odpowiadającego wymaganiom sanitarnym.

Co do niebezpieczeństwa, które wielu mogłoby odstraszyć od wzięcia udziału w takiej czynności, to mogę zapewnić każdego, że przy zachowaniu pewnych środków zapobiegawczych, niebezpieczeństwo sprowadza się do minimum.

W ciągu 3 miesięcznego przebywania w najstraszliwszym ogniu epidemii nikt z naszego komitetu nie uległ jej objawom, prócz jednego, który ją przeszedł w bardzo lekkim stopniu.

Mieczysław S.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Nasz szyk.

Kuryer Warszawski donosi, że malarze wiedeńscy, skutkiem braku obstalunków, trapieni nietylko głodem fizycznym, ale także duchowym, oświadczyli miastu gotowość ozdobienia sal ratusza, nie żądając żadnej zapłaty, a nawet zwrotu kosztów. Między tymi artystami znajduje się p. Ajdukiewicz, któr jako temat do swej wolnomyślnej ofiary wybrał sobie odsiecz Wiednia. „Jest to praca — dodaje *Kuryer* — obliczona prawdopodobnie nie na miesiące, lecz lata, wymagająca bezwątpienia gruntownych studyów przedwstępnych". Czyż to nie szyk a prawdziwie nasz! Bo gdyby malarzom niemieckim zaproponowano ozdobienie warszawskiego ratusza, ubawiliby się taką propozycyą rzetelnie. A nawet ubawiłby się nią p. Ajdukiewicz, gdyby go poproszono nie o lata, ale o dnie pracy na korzyść gmachu Zachęty Sztuk Pięknych. Wogóle naszym artystom wszelkiego gatunku — malarzom, muzykom, śpiewakom i t. p. przydałby się bodaj bardzo krótki pobyt w jakimś ubogim kraju—np. w Grecyi—gdzie obowiązek miłości i służby dla swojej ojczyzny jest szeroko uznany i wykonywany. Bo jest to chyba najbardziej kosmopolityczna klasa ludzi, przynajmniej u nas. Doprawdy warto byłoby zbadać, czy też ci od nas pochodzący obywatele całego świata a raczej jego najświetniejszych stolic, wiedzą lub pamiętają, że tam gdzieś w ich rodzinnej ziemi żyje lud ubogi, nieszczęśliwy, pozbawiony najprostszych warunków i środków kultury, dla którego każdy dar i każda usługa staje się wspaniałomyślnością i zasługą? Czy ci Reszkowie, Paderewscy, Ajdukiewicze wiedzą i pamiętają o tem?

g.

Pokój zapewniony.

Podobno tedy pokój będzie zawarty, bo—jak donosi telegram do *K. W.* z Marienbadu—przebywający tam Polacy zakupili nabożeństwo na tę intencyę. Pomimo wszakże całej wdzięczności dla naszych szanownych rodaków za przecięcie wojny, nie możemy się powstrzymać od dania im życzliwej rady! Mianowicie, ponieważ Bóg ich modły zewsząd i nawet najcichsze usłyszy, czemu oni klękają ostentacyjnie na środku Europy i rozgłaszają je telegrafem? Po co cały ten bigoteryjny hałas, którego wątpliwym skutkiem będzie wpływ na strony wojujące, a niewątpliwym jest śmieszność?

Polityczny sprawozdawca *Kur. Warsz.*, który „w ciągu półtorarocznej kampanii tyle poznał duszę japońską", iż „bez optymizmu wyraża przypuszczenie, że Japonia wyrzecze się kontrybucyi wojennej w formie pieniężnej", daje nam drugą, równie pewną rękojmię pokoju. A tak silnie weń wierzy, że już każe nam zwrócić myśl wyłącznie ku wielkiemu cmentarzowi wojny na którym stawia pomnik poległym Polakom z takim napisem: „A kto będzie przewracał te kurhany i liczył ich kości, ten nie utai uznania dla społeczeństwa polskiego, które tylu swoich synów *posłało* na obszar bohaterskich zapasów, aby pomnożyli szeregi rodowitych obrońców Rosyi. Walczyli oni z tem poświęceniem życia, z tą pogardą śmierci, z tem poszanowaniem sztandaru, z jakiem walczyli ci, którzy lepiej od nich zrozumieć mogli cel ponurego żniwa".

Zaiste warto poledz, ażeby zasłużyć na tak piękne epitaphium.

n.

Zgon gazety.

Dziennik, który umiera podczas jednej z najciekawszych i najbardziej wpływowych wojen, dowodzi przedewszystkiem, że był nieudolnie redagowany. W takiej porze każdy świstek, który zawiera nowiny polityczne, jest chętnie prenumerowany lub skwapliwie kupowany. *Gazeta Warszawska*, która przeżyła 132 lata a w ostatnich z godnem podziwu bohaterstwem opierała się niepowodzeniu, nie mogła wytrwać. Zginęła — jak ogłasza wydawca— „z powodu czysto materyalnej natury, mianowicie zupełnego wyczerpania własnych funduszów, niemożności ściągnięcia przypadających wydawnictwu należności oraz utrudnionego kredytu. Jedna przyczyna została tu nazwana trzema imionami: *Gaze-*

ta bowiem i nie wyczerpałaby swoich funduszów, i ściągnęłaby należności, i posiadałaby kredyt, gdyby miała abonentów. A nie miała ich dlatego, że ciągle wierzyła w doskonałość systemu redakcyi Lesznowskich-Kenigów po wszystkie wieki wieków—systemu, który polegał na odgrzewaniu krajowych doniesień z innych pism i rzemieślniczem przerabianiu artykułów prasy zagranicznej. Dziś to nie wystarcza. Publiczność oświeceńsza, niż przed pół wiekiem, żąda prac głębszych i oryginalnych a zepsuta humbugiem reporterskim, wymaga rzeczy świeżych, drażniących, chociażby nawet skłamanych. Ale oprócz tej inna jeszcze przyczyna zaprowadziła staruszkę do grobu. *Gazeta Warszawska* była i pozostała do końca organem zachowawczo-klerykalno-antisemickiego ziemiaństwa. Tymczasem owo ziemiaństwo również nie jest takiem, jak przed 50 laty, gdyż wchłonęło w siebie masę postępowców, niedowiarków i żydów, a o ile pozostało szlacheckiem w dawnym stylu, nie zdobyło się jeszcze na konsekwencyę stanową. Zresztą nie ono samo się waha. Społeczeństwo nasze jest klasowem, jego wszakże klasowość nie rozwinęła się jeszcze tak ściśle według logiki interesów, jak na Zachodzie. U nas największy arystokrata wydaje pismo demokratyczne (co prawda—są to obierzyny demokratyczne), żydzi prenumerują wydawnictwa antisemickie, konserwatyści—liberalne, a klerykalna szlachta nie popiera *Gazety Warszawskiej*. Tego nigdy nie dopuściłby się niemiecki „Bund der Landwirte“, gdyby ona jako jego organ, była nudniejszą i jednostajniejszą, niż „karta pobytu“. I to kiedyś nastąpi. Prorokujemy, że w najbliższej przyszłości interesy klasowe rozbiorą się do naga i rozpoczną walkę gladiatorską—a wtedy może i *Gazeta Warszawska* zmartwychwstanie jako służąca do wszystkiego w dworach szlacheckich. *)

h.

Parę uwag.

Dziś, kiedy wśród najważniejszych zagadnień społecznych na pierwszy plan wysunęła się kwestya szkolna, uwaga powszechna zwróciła się w stronę nauczycieli. Pedagogy nasi otrzymali jakby milczące upoważnienie od ogółu do stanowienia o losach tej sprawy. A jest to kwestya niezmiernie zawiła i trudna do rozstrzygnięcia. Ideał dobrej szkoły jest tak od niej daleki, że wszelkie poczynania muszą mieć charakter półśrodków, obliczonych na krótką metę. Przytem usposobienie ogółu odbiło się i na nauczycielach. Mało wśród nich jednostek o głębszem zrozumieniu zagadnienia. Większość to urzędnicy, czy urzędniczki, mechanicznie odrabiający swą pracę, albo specyaliści pewnej gałęzi nauki, po za nią niewiele zwracający uwagi na sprawy ogólne. Tem tylko można objaśnić tę apatyę duchową i dziwnie przykrą obojętność, jaką na każdym kroku wykazują nasi wychowawcy. Niema chyba w Warszawie ludzi bardziej lękliwych, nieuświadomionych, dalekich od żywego teatru życia, nad większość pedagogów płci obojga. Bez wątpienia istnieją między nimi wyjątki, lecz są one nader nieliczne i jako takie wywierają minimalny wpływ na ogół. A przecież dziś, kiedy możemy choć rozprawiać o dobrej szkole, jakość ciała nauczycielskiego nabiera pierwszorzędnej wagi. Dziś, kiedy pomimo wszelkich ujemnych objawów, powiał świeży prąd, należy zerwać z dawną rutyną, z dotychczasowem odsunięciem się nauczycieli od życia, gdyż społeczeństwo ma prawo żądać, aby dzieci jego wychowywali obywatele a nie automaty. Lecz z drugiej znowu strony, dopóki większość nauczycieli a szczególnie nauczycielek znajdować się będzie w tak okropnem położeniu materyalnem jak dzisiaj, dopóty trudno od nich wymagać zapału i nawet odpowiedniego przygotowania. Projekt szkół udziałowych wiele tu może zrobić, a także organizowanie się wzajemne wyzyskiwanych. Łączy się z tem jeszcze jedna strona tego zagadnienia. Faktem jest że najgorzej są płatne nauczycielki prywatne, z któremi nasi inteligenci nie robią sobie ceremonii i zrywanie umów, niedotrzymywanie warunków, niepłacenie lub płacenie po 25 k. za godzinę—są to głęboko u nas zakorzenione obyczaje. Dziś nikt przeciwko temu nie protestuje, gdyż brak odpowiedniego ciała zbiorowego. Nieco lepiej, choć nie zabardzo dobrze, dzieje się na pensyach prywatnych. Przełożone uważają za właściwe żądać od ciała nauczycielskiego hołdowania przeróżnym przesądam, będącym ogólnie podłożem systemu wychowawczego we wszystkich zakładach. Kto się ośmieli wypowiedzieć inne zdanie, naraża się na dość niemiłe konsekwencye, szczególniej jeżeli jest to nauczycielka.— Ogółem biorąc atmosfera duchowa w tym świecie jest ciężka i każe obawiać się o los sprawy szkolnej.

z.

*) Proroctwo już się spełniło, jakkolwiek tymczasem tylko co do zmartwychwstania *Gazety Warszawskiej*. Po dziesięciodniowej przerwie pojawiła się ona znowu, wywiedziona z grobu przez „grono ludzi, którzy nie chcąc pozwolić na upadek pisma, zapewnili mu byt trwały“; czy też zapewnili czytelników—przyszłość pokaże.

Red.

Znowu sekcya robót publicznych.

Sekcya robót publicznych stale przypomina się prasie w sposób dość zagadkowy. Teraz znowu opublikowano, że „przy urządzaniu parku na łąkach skaryszewskich, roboty były przez dni kilka przerwane z powodu lenistwa niektórych robotników, którzy nie chcieli pracować od sążnia, lecz na dniówkę“. Dziwna instytucya społeczna. Zadaniem jej jest podobno dostarczania pracy potrzebującym; w tym celu zwraca się ona o pomoc pieniężną do społeczeństwa. A tu jakoś coś się nie klei. Wszystko tak wygląda, jakgdyby to było przedsiębiorstwo, obliczone na wielkie zyski. Płace tam są nie wyższe, niż u przedsiębiorców prywatnych, przytem panuje ciągła troska o zwiększenie wydajności pracy robotnika. Niedawno sekcya ogłosiła, że z funduszu jaki zbierze, zamierza założyć instytucyę pożyteczności bublicznej. Bardzo pięknie, lecz społeczeństwo tymczasem daje dziś pieniądze na dostarczenie pracy potrzebującym a nie na co innego, o czem niewolno zapominać. Inna rzecz, że z tych pieniędzy będzie miało prawo żądać rachunku w przyszłości. Dostarczanie pracy drogą samopomocy społecznej nie powinno mieć na sobie nawet cienia chęci wyzysku wielkiej podaży, rąk roboczych.

a.

Hakatyści przed lufą.

Kuryer Warszawski wykazuje, jak wiadamo, silne zainteresowanie się sprawami społecznemi. Po zwycięztwie, jakie jego „patryotyczne rady“ odniosły nad „międzynarodówką“, obecnie zapragnął zbogacić panteon sławy narodowej. A idzie tu o rzecz niemałą. Jakiś pan hrabia raczył wystąpić w obronie narodu polskiego, i kiedy hakatyści go z tego powodu dotknęli osobiście, kazał oczyścić rewolwer i począł wyzywać przywódców owego stronnictwa. Historya ta ciągnie się już dość długo, i pan hrabia ciągle wydatkuje na utrzymanie w porządku swej broni palnej. Zdawałoby się, że wszelkie mamuty u nas zrozumiały nareszcie, iż zaszła jakaś zmiana, że czytelnicy bardziej krytycznie przyjmują to, co im się „ględzi“. Gdzietam przyszłość Poznańczyków „zależy“ w dalszym ciągu od pojedynku owego pana, a wszelkie usiłowania samoobrony i obycia się bez „łaskawej“ pomocy to wymysł masoński. Całe szczęście, że nie wymarli polscy bohaterowie i że *Kuryer* dba o dobro narodowe.

h.

Pogłoski.

Przez cały zeszły tydzień kursowały po Warszawie przeróżne pogłoski, zwiększając trwożny nastrój naszej inteligencyi. Źródła ich dopatrzeć się można w pewnym, drobnym fakcie. Roztrąbiono go po całem mieście, i już już widziano pikelhauby na Woli, w Mokotowie i t. d. Obecnie zdaje się panika cichnie. Całe to zdarzenie wykazało, jak nizko jeszcze stoimy, jak mało nasza inteligencya dojrzała w okresie poważnych przemian dziejowych. Zdawałoby się, że z powagą i zastanowieniem będziemy już mogli spotkać dalszy rozwój wypadków, a tu lada plotka wszystkich przeraża i wyprowadza z równowagi. Smutne to, nadzwyczaj smutne. Brak naszym inteligentom hartu, brak zdolności rozumienia potrzeb chwili, a tylko ich pretensye i uroszczenia wciąż się wzmagają. Całe szczęście, że byle anekdota tych wielkich działaczy nabawia drżenie serca i... łydek, bo silniejszy powiew wichru zmiecie ich już napewno.

x.

Zacni obywatele kraju.

W okresie deklamacyi na temat obowiązków społecznych ciekawą dali odpowiedź fabrykanci nasi na propozycyę przyjęcia na praktykę studentów Politechniki Warszawskiej. Ot, poprostu, wyraźnie zaznaczyli, że nie mogą zezwolić na praktykę „z przyczyny niepożądanego oddziaływania uczącej się młodzieży na robotników fabrycznych... zwłaszcza w obecnej porze, gdzie śród tych robotników daje się zauważyć silne wrzenie nietyle charakteru ekononomicznego“. Treściwa i zwięzła odpowiedź. Panowie przemysłowcy sądzą, że owem delatorstwem uwolnią się od potrzeby podniesienia płacy, zaprowadzenia ulepszeń sanitarnych. Próżna fatyga. Dziś nawet wróble na dachu wiedzą o tem, że młodzież nasza bynajmniej nie jest tak czerwoną, jak ją malują. Prawdopodobnie fabrykantom idzie o co innego, gdyż posądzić ich trudno o to, aby wierzyli, że student, to uosobienie wszelkiego radykalizmu. Napróżno *Kur. Codz.* odsądza ich od tytułu przemysłowca polskiego, oni właśnie, jako przemysłowcy, są konsekwentni i logiczni.

Zb.

List.

Słuszną sprawę podnosi Robotnik w liście do *Kur. Codz.* Zwraca on uwagę na to, że studenci, owa młodzież—kwiat narodu, przy zwiedzaniu fabryk zachowują się wyzywająco niegrzecznie. Nie jest to chyba dla nikogo tajemnicą; u nas niejeden demokrata przy zetknięciu się z człowiekiem „prostym“ nigdy nie zaniedba silnie podkreślić swego arystokratycznego do niego stosunku. Dopiero jak ów prosty człowiek da nauczkę człowiekowi „nieprostemu“, wówczas ten odzyskuje elastyczność ruchów i staje się — bardzo uprzejmym. Dlatego słusznie ostrzega korespondent kuryera przed nieprzyjemnościami. Dobre wychowanie mamy tylko w salonach, za to w fabryce pan inżynier czy lekarz zapomina o dobrych manierach i zachowuje się grubiańsko i ordynarnie.

j.

Pamięci Reja.

Dnia 18 bieżącego miesiąca w zborze kalwińskim przy ul. Leszno obchodzono uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej pamięci autora „Żywotu poczciwego człowieka”.

Obchód, jakkolwiek nie zapowiedziały go głośne fanfary po pismach warszawskich, zgromadził liczną publiczność czcicieli pamięci pierwszego narodowego pisarza polskiego.

Tablica, ufundowana przez synod kalwiński, nosi napis: „Pamięci Mikołaja Reja z Nagłowic 1505†1569, ojca piśmiennictwa polskiego, szermierza kościoła reformowanego, głosiciela prawd ewangelicznych w Polsce, Postylli i Psałterza i wielu innych dzieł autora. Rodacy, współwyznawcy w 400-ną rocznicę jego urodzin r. p. 1905.

BADANIA NAUKOWE

Nowy pogląd na antropogenię.

(Pochodzenie człowieka).

Gdy teorya zasłużonego w nauce Cuvier'a przeszła do historycznego archiwum przyrodoznawstwa, coraz więcej uznania zdobywały poglądy Cuvier'owskiego przeciwnika, Lamarka. Początkowo tylko umysły głębsze i przenikliwsze jak Oken, Geoffroy St. Hilaire podtrzymywały pomysły Lamarka, im też zawdzięczamy, że stały się one dobytkiem powszechniejszym ogółu uczonych. Geoffroy St. Hilaire, jako lamarkista, zmuszony był do polemiki z Cuvier'em, który, wymowniejszy, błyskotliwszy, z łatwością, nie mając słuszności, „gasił” swego przeciwnika, jak się obrazowo gwara ludu naszego wyraża. Nie mogło być wreszcie inaczej, skoro pobieżny rzut oka na dostępne spostrzeżeniu fakty, skoro pierwsze wrażenie zmysłów więcej przemawiało za „niezmiennością” typów zwierzęcych, niż za ich zmiennością i za pochodzeniem wspólnem od form pierwotnych. Pamiętać wreszcie trzeba, że wtedy dla wyjaśnienia zmienności form zwierzęcych i wspólnoty ich pochodzenia nie istniały wszystkie, dziś znane zjawiska z dziedziny biologii, a tylko te, które wskazywał Lamark.

Dowodził on dziedzicznego przekazywania potomstwu nabytych przez przodków znamion cielesnych, zaniku narządów wskutek ich bezczynności i nieużywania, przerostu narządów wskutek wzmożonej ich czynności, wzmagania się znamion odziedziczonych w miarę wielokrotnego, dziedzicznego przekazywania ich wielu następującym po sobie pokoleniom.

To było wszystko, czem wówczas wyjaśniano zmienność typów zwierzęcych i ich wspólne pochodzenie od form pierwotnych. W roku 1830 teorya Cuviera poniosła znaczną klęskę. Angielski twórca geologii nowoczesnej, Lyell, wykazał nicość teoryi „kataklizmów“, dowiódł natomiast, że wszystkie przekształcenia, jakim skorupa ziemska ulegała i ulega, wraz z całą, właściwą jej fauną i florą zostały dokonane drogą nadzwyczaj powolnych i stopniowych, bo różniczkowych zmian. Teorya ewolucyjnej zmienności form zwierzęcych wzięła z tego odkrycia Lyella niemało zasiłku. We dwadzieścia osiem lat potem Karol Darwin ogłosił swą epokową pracę p. t. „Wytwarzanie się gatunków środkami doboru naturalnego” (Origin of species by means of natural selection). W książce tej uwględnił twierdzenia swych poprzedników. Nie ograniczając się do tego, wzbogacił on ją samodzielnymi wywodami, które mu nasunęły spostrzeżenia nad wynikami metod, stosowanych przez hodowców. Przyszedł on do wniosku, że nieosobistym i nieodpowiedzialnym hodowcą gatunków jest „natura”, która tak samo jak tamten usuwa jedne wadliwe postacie zwierzęce, dopuszcza do rozpłodu inne, uznane za pożyteczne. Dzięki temu, tak jak i hodowca, wypielęgnowywa ona coraz to nowe postacie zwierzęce, o coraz wyraźniejszych, pożytecznych cechach, grzebie zaś i tępi niewyposażone dostatecznie do współzawodnictwa w zaspokojeniu potrzeb życiowych. Przejęty tą myślą Darwin spostrzegł, że każdą istotę zwierzęcą wyróżnia większa lub mniejsza odrębność w zestawieniu z jej rodzicami i istotami tegoż gatunku. Ta to indywidualna zmienność jest punktem wyjścia dla wytworzenia się nowego gatunku, jeżeli cecha indywidualna wyróżniająca, nadaje posiadającej ją istocie zwierzęcej przewagę nad innemi w walce o byt, przewagę w spółzawodnictwie o zaspokojenie potrzeb życiowych. Takie indywidualne cechy cielesne wielokrotnie przekazywane dziedzicznie, wzmożone przez właściwą im czynność, po pewnym przeciągu czasu zyskają na wyrazistości i na tyle przekształcą typ zwierzęcy, że zasłuży on na miano nowego gatunku. Proces ten biologiczny Darwin nazwał doborem naturalnym w przeciwstawieniu do doboru sztucznego, dokonywanego przez hodowców. Niejednostajność i zmienność warunków bytu wywołują cechy indywidualne, będące odpowiedzią przystosowania się zwierzęcia do podniet, dostarczonych przez niestałe i zmienne warunki bytu.

Oprócz doboru naturalnego ustanowił Darwin zasadę doboru płciowego, którą można uważać jedynie za waryant zasady doboru naturalnego, jeżeli czynności rozrodcze włączymy do kategoryi czynności, związanych z walką o byt.

W myśl zasady doboru płciowego i te indywidualne odmiany cielesne, które sprzyjają interesowi płciowemu też ostają się, wzmagają przez dziedziczne przekazywanie, przysparzają cech nowych, przyczyniają się do metamorfozy, do powstawania nowych gatunków, wynikłych z przekształcenia się dawnych. Darwin, zwróciwszy się myślą ku człowiekowi, nie wahał się wypowiedzieć, że i dzisiejsza, cielesna organizacya człowieka rozwijała się stopniowo z dawnych form zwierzęcych w myśl tych samych praw dziedziczności, doboru naturalnego i płciowego.

Haeckel entuzyasta i gorący zwolennik poglądów Darwina, pośpieszył się z naszkicowaniem drzewa genealogicznego świata zwierzęcego, do którego włączył i człowieka. Według Haeckelowskiej autropogenii, opartej na zasadach darwinistycznych, pochodzenie człowieka i dziś znanych małp człekokształtnych wywodzi się od wspólnego przodka, łączącego w sobie małpie i ludzkie znamiona cielesne. Stąd powstała plotka, utrzymująca się do dnia dzisiejszego wśród sfer wykształconych i niewykształconych, że Darwin miał wygłosić pogląd, iż człowiek pochodzi od małpy. Od czasu rozpowszechnienia się poglądów Darwina zestawiano je z każdem nowem odkryciem embryologicznem, zoologicznem, anatomoporównawczem, paleontologicznem i zawsze zdawały się one poglądy te potwierdzać. Odkrycia paleontologiczne odsłaniały wymarłe postacie zwierzęce, będące stopniowemi ogniwami przejściowemi między dziś żyjącymi gatunkami, i tem wypełniała się luka, jaką uwidoczniała ustrojowa odległość między nimi.

Najświeższem uzupełnieniem lamarkowsko-darwinistycznych poglądów jest „teorya” holendra Hugo de Vries'a o „nagłej przemianie”. Spostrzeżenia nad rośliną *„Oeonthera Lamarkiana”* i innemi doprowadziły go do wniosku, że obok walki o byt między osobnikami istnieje walka o byt między gatunkami oraz, że po periodach zastoju morfologicznego następuje period „nagłej przemiany gatunkowej” w łonie rodzaju (genus), która jest tem dla rodzaju, co zmienność indywidualna w łonie osobników tegoż gatunku (species). W dodatku embryologia zdołała wykryć, że fazy rozwojowe jaja zapłodnionego u każdego zwierzęcia szybko, szkicowo i niedokładnie odtwarzają zwierzęta, należące do innych klas i rzędów, które je poprzedziły w historyi rozwoju i w systematyce zoologicznej. Widziano w tem objawy przemijającej dziedziczności. Skoro więc np. jajo płazów przechodzi w swym rozwoju fazę rybokształtną, to uważano to za dowód, że ryby w historyi rozwoju były odległymi przodkami płazów. Embryologia, tak pojmowana, potwierdziła tylko teoryę ewolucyi i historyę rozwoju, którą Lamark, Darwin, de Vries usiłowali wytłomaczyć swemi spostrzeżeniami i uogólnieniami biologicznemi.

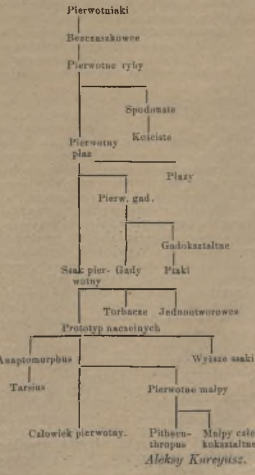
Odtąd znaleziono w embryologii nowy sprawdzian historyi rozwoju. Pozostawało tylko z możliwą dokładnością ustanowić filogenetyczny szereg typów zwierzęcych, którego sąsiednie ogniwa jak najmniej różniłyby się między sobą. W tym szeregu odległości ustrojowe między dziś żyjącemi zwierzętami uzupełniano zwierzętami, o których istnieniu paleontologia dostarczała dowodów rzeczowych. Ostatniem i najdoskonalszem ogniwem w tym szeregu był „homo sapiens”. Przedostatniem ogniwem były dziś żyjące małpy człekokształtne. Przy dokładnem rozpoznaniu budowy małp człekokształtnych i najniższych ras ludzkich, za jaką uznano szczepy australskie, okazało się, że między temi dwoma sąsiedniemi ogniwami szeregu filogenetycznego jest zbyt wielka różnica ustrojowa. Chociaż Virchow ustanowił całą listę znamion małpich, jakiemi ustrój cielesny ras nizkich się odznacza, to jednak różnica się jeszcze nie zatarła. Nie zatarło jej również rozpoznanie szczątków kostnych po rasach wymarłych, jakie wydobyto w Neanderthalu, Cro-Magnon, Spy, Krapinie. Skutkiem tego, nie zwracając się do nowych teoryi i wyjaśnień pozostano na stanowisku postulatu logicznego, jaki należało wyciągnąć z Lamarko-Darwinizmu a wykrycie i poznanie ogniw przejściowych między małpami człekokształtnemi i człowiekiem pozostawiono czasowi i szczęśliwemu przypadkowi. To też gdy Dubois w 1891 roku odkrył na wyspie Jawie kostne szczątki ustroju nazwanego „Pithecanthropus erectus” entuzyaści, jak Haeckel, widzieli w nich z upragnieniem wyglądane szczątki człowieka pierwotnego; sceptycy zaś uznali wykopaliska Dubois za szczątki wymarłego gatunku małpy, gatunku bardzo zbliżonego do pierwotnego człowieka. Ponieważ kryterya do należytej oceny zjawiska nie są ścisłe przeto obie opinie są uprawnione.

Ten niezdecydowany wynik nie usunął z porządku dziennego dalszych poszukiwań w sprawie „pochodzenia człowieka”, to też myśl badawcza, bez naruszania darwinistycznych podstaw, poczęła wysnuwać odmienne wnioski z bliżej poznanych faktów. Posługując się również kryteryami embryologicznemi, paleontologicznemi, zoologicznemi i anatomoporównawczemi niektórzy uczeni jęli powątpiewać, czy z teoryi Darwina koniecznie ma wynikać, że człowiek, jako ostatnie ogniwo stworzenia, jest jego koroną i najdoskonalszym wyrazem pod każdym względem. Poczęli też powątpiewać, czy szereg filogenetyczny musi koniecznie przedstawiać kolejne następstwo po sobie ogniw w prostej linii. Nasunęły się przypuszczenia, że w drzewie genealogicznem świata zwierzęcego istnieją boczne linie, równolegle rozwijające się szeregi, oddzielne od wspólnego pnia. Poczęto więc poszukiwać, tak zwanych przez Huxley'a „collective types”, będących tym

wspólnym pniem rozgałęzienia się drzewa genealogicznego. Oczywiście typów tych można było poszukiwać dla szeregu wyższych zwierząt tylko między niższemi, tak dobrze wymarłemi, jak też dziś żyjącemi. Musiały to być typy, do których całe szeregi wyższych zwierząt ustrojowo i rozwojowo były by więcej zbliżone i podobne, niż do innych. Tak np. Huxley usiłował wykazać, że takim typem dla wszystkich wyższych ssaków, wyłączywszy jednootworowców (monotremata) i torbaczy (marsupialia), jest jeż (erinaceus europaens). Uświadomiono też sobie, że ustrój człowieka nie pod każdym względem jest najdoskonalszym, że najdoskonalszym jest on tylko pod względem rozwoju swego mózgu i systemu nerwowego. Wyrozumowano też, że przy tworzeniu się gatunków i rodzajów ma miejsce jednostronny rozwój tych znamion ustrojowych, które zapoczątkowały oddalenie się ustrojowe od wspólnego pnia. Taki jednostronny rozwój narządów, pociągający za sobą daleko sięgające zmiany i w innych dziedzinach organizacyi cielesnej, widzimy u ptaków — narządy lotu, u drapieżców—kły i pazury, u małp—narządy chwytne, u człowieka—mózg. Oczywistą też było rzeczą, że zagadnienia o pochodzeniu człowieka (antropogenia) nie można było rozwiązywać inaczej, jak w związku z historyą skorupy ziemskiej. Fakt, że w formacyi kambryjskiej, sylurskiej i dewońskiej epoki paleozonicznej odnajdują się tylko ślady zwierząt wodnych, zniewala do wniosku, że pierwotna forma rybia musiała byc najstarszym prototypem kręgowców a tem samem i ssących. Lecz nie o taki odległy prototyp chodzi, ale o prototyp bliższy i specyalniejszy, nie kręgowców, lecz wyższych ssaków, a w tej liczbie człowieka. Pewne fakta zwróciły uwagę przyrodników. Między rybami są postaci żywo rodzące i wylęgające potomstwo z jaj złożonych. Płazy, które nim dojdę do okresu dojrzałości, przechodzą stadyum ryb, składają świadectwo, że się wyrodziły z postaci rybich; to też ślady płazów można odnajdywać dopiero w formacyi późniejszej, t. z. węglowej. Otóż między płazami są też postaci żywo rodzące i wylęgające potomstwo z jaja. Gdy rzucić okiem na jeszcze wyższych kręgowców i te dadzą się rozdzielić na dwie kategorye: na żyworodzące, ssące i składające jaja (gady, ptaki). Nasunęło to myśl, że prototypem żyworodzących kręgowców wyższych musiała być postać żyworodzącego płaza a prototypem wyższych kręgowców, składających jaja, postać płaza, składającego jaja. Jeżeli tak, to w formacyi geologicznej należałoby odnajdywać ślady ssaków; za takiego uznano „Chirotherion", którego kończyn odciski wykazują warstwy permskie. Jeżeli zaś tak, skoro ssaki nie przechodziły nigdy ani formy gadów, ani formy ptaków ich organy szczątkowe, atawistyczne i stadya embryologiczne nie powinny przypominać ani gadów, ani ptaków. Jedni przyrodnicy (Haeckel, Leydig, Keibel) utrzymują, że fakty nie potwierdzają tego założenia, inni znowu usiłują dowieść, że one je potwierdzają. Zwolennicy dawnego poglądu utrzymują, że formacya permska nie zna ssaków, tylko triasowa, że ssaków poprzedzały przejściowe postaci jaszczurów ssących (sauromammalia), że dziobak jest ssakiem, składającym jaja, że w pewnym momencie embryonalnego rozwoju człowieka i ssaków dają się zauważyć twory przypominające, ptaki, że wyższe gady, składające jaja, są przejściowemi formami do ptaków, itp. utarte, dawne twierdzenia. Odmienne stanowisko zajmuje cały szereg przyrodników jak Gegenbaur, Rabl, Mauer, Klaatsch, His, Huprecht Huxley i inni. Wskazują oni, że w ustroju człowieka zachował się cały szereg znamion konserwatywnych, mniej zróżniczkowanych w porównaniu z tymiż znamionami innych gromad. Usiłują oni dowieść, że w powiększeniu się mózgu, w budowie serca, naczyń krwionośnych, (arteria mesenteriaea = t. krezkowa) kończyn, tworów skórnych (zęby, włosy, gruczoły mleczne) dają się przeprowadzić bezpośrednie analogie z temiż tworami lub ich zaczątkami u płazów. Tworzenie się np. zamkniętej owodni, pojawianie się kostki środkowej napiętka w embryonalnym rozwoju człowieka i inne szczegóły tembardziej utrzymują ich w tem przekonaniu, gdyż są to szczegóły (anatomiczne i embryologiczne) charakteryzujące płazy, w szczególności płazy żyworodzące (vivipara). Cały, liczny szereg danych embryologicznych, zoologicznych, anatomoporównawczych, których szczegółowego przeglądu robić tu nie możemy, upoważnił pewien odłam przyrodników do ustanowienia nowego drzewa genealogicznego świata zwierzęcego, do nakreślenia innych dziejów rozwoju. Według tej nowej historyi człowiek pierwotny rozwinął się bezpośrednio z pierwowzoru (prototypu) naczelnych, ten rozwinął się bezpośrednio z pierwotnego ssaka, ten zaś bezpośrednio rozwinął się z pierwotnego płaza, którego przodkami w prostej linii są pierwotne ryby morskie.

Do pierwowzoru ryb najwięcej są zbliżone ryby spodouste (Selachii). Pierwotnego płaza najwięcej przypomina „Salamandra maculosa". Pierwotnemu ssakowi najwięcej odpowiada „Sorex vulgaris" a za prototyp naczelnych uważać można „Tarsius spectrum". Ryby kostołuskie, kościste, płazy (ovipara), gady, ptaki, jednootworowce, torbacze, wyższe ssaki, małpy, są to wszystko boczne rozgałęzienia drzewa genealogicznego zwierząt, nie mogą przeto nie wykazywać wielu podobieństw w budowie anatomicznej. Im później ta lub inna gromada oddzieliła się od wspólnego pnia rodowego, tem więcej się tych podobieństw da naliczyć. Tem się tłomaczy dlaczego małpy człekokształtne (a jeszcze więcej nowoodkryty „pithecanthropus erectus") tyle podobnych cech ustrojowych z człowiekiem posiadają.

Takim jest spór w świecie uczonych przyrodników, który wykształcony ogół zainteresować może i dlatego pozwoliliśmy sobie dać o nim wiadomość we właściwych granicach. Szczegółowego obrazu historyi rozwoju podług nowego poglądu dostarcza następująca tablica:



Aleksy Kurcyusz.

LITERATURA I SZTUKA

Wasserman

Współczesna literatura niemiecka, pomimo łudzących pozorów, zbyt bogato się nie przedstawia. Przytłacza ją, jak wszędzie, ogrom fabrykatów, przeznaczonych dla zaspokojenia niewybrednych gustów, a przytem banalność niemiecka jest chyba najbanalniejszą w świecie. Obok przeróżnych poetów, powieściopisarzy, krytyków, istnieje grupa prawdziwych talentów. Lecz ludzie ci stoją na uboczu i, choć wiele o nich piszą, rozprawiają, szeroka masa czytelników wie o nich mało. Niektórzy tylko dzięki przypadkowi, a może pewnym cechom swego talentu, są modni i czytani. Przy wybitnych grupują się pomniejsze talenty o niższym polocie, choć równej kulturze. Ci ostatni właśnie są znani jako pisarze „modern". Powieści ich mają swą fabułę, płynącą nieraz ładnie błyskotliwie, a że zbyt wielka indywidualność autora nie czyni utworu „zagadkowym", więc owe romanse należą przeważnie do sezonowych „zjawisk chwili".

Ludzie ci, posiadający większe lub mniejsze zdolności, usiłują uchwycić tętno życia, stanąć na wysokości poziomu psychiki „nowych ludzi". Wielki talent twórczy tej miary, co Johannes Schlaf ujął tę nowożytną treść duchową w kształty improwizacyi, poematu. Jego utwory to nie powieści, czyli reprodukowanie pewnych spostrzeżeń, lecz twórcze, indywidualne wypowiedzenie się przez symbol słowa.

Artyści mniejsi nie przekroczyli stanowczo progu, dzielącego odtwarzanie od twórczości i piszą powieści, interesujące inteligentnem zrozumieniem i odczuciem tematu, powieści sporej wartości artystycznej.

Mniej indywidualnie wchłaniając kulturę, nie przetwarzają jej na samodzielną treść duchową, ulegają wpływom, wahaniom, rozpływają się w ogólnej harmonii linii i barw, których używają; przeważnie zdolni, wrażliwi, subtelni nawet, talent ich ma w sobie jednak dziwną przezroczystość; jaźń ich wewnętrzna nie wyrzuca snopów światła, a tylko utrwala promienie, idące zzewnątrz. Nie są to może twórcy w wulkanicznem słowa tego znaczeniu, lecz mają umiejętność snucia wytrzymanych w tonie pieśni, odczuwanie w świecie zewnętrznym głębszego piękna i układanie z cichych, delikatnych kwiatów bukietów pełnych powabu i czaru. Są to artyści szczerzy, choć słabego rozmachu.

Do tych powieściopisarzy należy Wasserman. Pisze on niezbyt dawno. Już pierwsze jego utwory posiadały znamię wyodrębniające je z pośród innych. W późniejszych powieściach wypowiedział się on ciekawie i wyraźnie. Do najgłośniejszych należą: „die Geschichte der jungen Renate Fuchs" i „der Moloch". Szczególniej pierwsza rzecz jest utworem ciekawym, delikatnie rysowanym i pełnym odczutych drgnień duszy kobiecej.

Wasserman stoi na wysokości poziomu kultury współczesnej, i to właśnie stanowi wybitną cechę jego utworów. Mówiąc tak, mam na myśli nietyle rezultaty najnowszych docieków naukowych, wyniki pracy wielu pokoleń, nietyle najtrafniejsze twier-

dzenie, jakie zawdzięczamy doświadczeniu, albo najpóźniej poznany zabytek ducha ludzkiego, co atmosferę duchową, nastrój wspólny, ową srebrzystą tkaninę, wysnutą z pracy mózgów, westchnień serc, z ciągłej przemiany treści wewnętrznej. Kulturę mierzy wysubtelnienie psychiczne, rozwijające się równolegle z natężeniem pracy ducha, z rosnącą tęsknotą i niepokojem. To podłoże ogólne uchwycił Wasserman w wątłe barwy akwareli i wysnuł z niego długi szereg przymglonych obrazów. On nietylko wie, że treść ta duszy istnieje, nietylko wie, którędy kroczy rozmodlona i trwożna dusza, lecz czuje szelest jej kroków, czuje uderzenie jej bolesciwego serca; czuje—jej tajemnicę. Głębokie jest to jego wczucie się, i przez to artysta dotarł do wrót, zawartych dla prostaczego wzroku ciekawych gapiów, za któremi przebywa zaczarowana królewna, wygnanka, więziona i tęskniąca.

Brak mu tylko dostatecznej mocy indywidualnej, aby oświetlić piękne, ciche obrazy, aby promieniować na nie jasnością, któraby w linie tchnęła jakieś inne życie, któraby dała drgnięcie odrębnego istnienia. A wskutek tego powieść jego nie przestaje być powieścią--opowiadaniem: wskutek tego rwie się łączność subtelnych obrazów i z po za nich wyziera—sztukowanie i plan — abstrakcyjny zamysł, pomyślany jako szkielet całości. Wszystko to osłabia wrażenie, osłabia impulsywne napięcie mowy artysty. Pomimo tego powieści Wassermana nie są martwe, jest w nich życie, choć często nikłe, wątłe, jest subtelne drgnienie barwy słowa. Bo znalazła w nich głos swój dusza współczesna, bo tchnęła w nie swe tchnienie cicha zaduma.

Główny punkt ciężkości tych powieści to — życie psychiczne najwewnętrzniejszej jaźni człowieka współczesnego. Całe zagadnienie z tej dziedziny streszcza w sobie Renata Fuchs, postać doskonale wymodelowana i narysowana.

Życie dziś stawia przed ludźmi przeróżne zagadki. Nie są to powikłania, które konieczność nakazuje rozwiązać, nie są to pytania, które wciskają się do mózgu i wyzywająco żądają odpowiedzi. Nie, zagadki te—to zupełnie co innego. Człowieka czasem pośród ustalonego trybu życia opada naraz jakieś zniechęcenie, jakiś niesmak, jakaś gorycz. Wszystko wydaje się oczom marnem; nawet słońce płonie bez wyrazu. Wszelkie piękno, idące zzewnątrz, traci łączność z duszą; a w niej po długiej chwili męki, wyczekiwania, po długiej chwili trwogi, lęku, bólu, łkania, nagle wybucha płomień, rozpala się stos marzeń, żądz i pożądań, niosąc świeżość jakiegoś dotąd nieznanego pędu, pchając ku wyzwoleniu, ku zerwaniu pęt, ku obaleniu codzienności życia. Jedni od wczesnej młodości idą za tym głosem, czyniąc to nieświadomie, świadomie lub półświadomie. Są to istoty wewnętrznie czyste, nieskalane, istoty zaziemskie, które złośliwa ręka losu zamknęła w glinę ziemską i każe im istnieć w czasach dzisiejszych. Dusza ich jest jako roślina, zwracająca z radosnem upojeniem kielich swój w stronę słońca. Są to rozmarzeni szaleńcy, których „najtrzeźwiejsza" rzeczywistość nie zdoła pozbawić anielskich skrzydeł. O jednej z tych dusz przeczystych autor mówi: „Miriam nie jest stworzona dla miłości. Wierzę, że istnieją kobiety, które zbyt są subtelne, zbyt delikatne, zbyt pełne treści idealnej, aby stać się sługą tak niedoskonałej namiętności". Treścią tych dusz jest wielka jednolitość, jedność melodyi bez rozłożenia na szczególne tony. Kiedy dusza taka budzi się z rozmarzenia w jedności, kiedy poczyna się ona rozglądać, pytać, pragnąć, wtedy następuje rozdźwięk i cichy smutek. Renata zrywa więzy, bieży ku słońcu, bieży ku temu, o czem śnić nawet nie śmiała, lecz „jeżeli dusza kobiety jest w sen pogrążona, to idzie ona przez życie, jako przez marzenie i ręce jej sięgają po inne ręce, które ją mają przyciągnąć do ziemi". Szara, wilgotna mgła nie bezkarnie otacza człowieka. Wgryza się ona weń i czyni go niezwykle słabym. Renata poszła za głosem swym wewnętrznym, bo była czysta, żywotna i pełna tajemnej treści. Lecz poszła na mękę, na poniewierkę. A choć tamto przeszłe życie było bez promieni, jednak usypiało duszę, nie raniąc jej bierności. To nowe szarpie ją, wlecze, tratuje, burząc jej spokój i poddając niewoli zewnętrznego świata. I wreszcie znajduje męczennica głodu życia ukojenie, znajduje punkt oparcia, bo poczuła w sobie własną siłę i wiarę we własne głębie. Zakończenie powieści tej, pomimo pewnych nierówności, jest piękne—piękne nastrojem pogodnego zachodu, kiedy słońce zgarnia powoli swe promienie, aby je później znowu rozsypać, aby znowu niemi złocić ziemię.

Głód życia jest także tematem powieści „der Moloch"". Tu motyw ten przyjął inną formę. Mamy tu człowieka jakoby pierwotnego, jednolitego, wyrosłego zdala od centrum życia dzisiejszego miasta. Jest on świeży, niezróżniczkowany i chciwy życia. Zbliża się do innych z powagą, skupieniem i ciekawością, chce zrozumieć życie, chce dojrzeć w niem nici, łączące chaos ten w całość, chce żyć prostem życiem, jako dąb prosto wypuszcza w górę swe konary. Instynkt pcha go do czynu, chce czynić sprawiedliwość. Później uczuwa pragnienie dotarcia do korzeni zła, gdyż poznaje że fakt pojedynczy to tylko atom. Życie dla Ansorge'a staje się coraz bardziej powikłanem, niejasnem; każdy człowiek przypomina mu roślinę, która za najmniejszem tchnieniem zwija swe listki. Wszyscy są dlań obcymi, niezrozumiałymi; nie może pojąć pobudki ich czynów, ich słów. Jednolitość pierwotna słabnie wskutek zwiększania się świadomości. W zapatrzeniu w zagadnienia, jakie nasuwa mu praca jego mózgu, nie umie on dojrzeć odcieni, nie umie dotrzeć do treści uczuciowej i gnie, łamie wiele, nie spostrzegając nawet tego. Miejscami motyw się rwie i ów bohater razi teatralną naiwnością. Lecz są to nieliczne ustępy. Całość jest wytrzymana w tonie. Moloch — zagadka zwycięża, i Ansorge pada, jako dąb zwalony wichrem; wichrem dlań była cisza i spokój.

Podobne motywy mamy w innych utworach Wasserman'a. Są one wszędzie przeprowadzone kunsztownie i umiejętnie. Artysta usiłuje objąć całość życia duchowego jednostki, jako jej napięcie intensywne w kierunku pożądania nowych horyzontów istnienia.

Człowiek współczesny coraz namiętniej, coraz głębiej tęskni za jednolitością. Tęsknota ta ma w sobie odczucie przetwarzania się wewnętrznego. Jedna za drugą wyrastają łodygi nowego krzewu i rosną, jako zwiastowanie nowej treści ducha. Lecz chwila wewnętrznego przełomu jeszcze nie nadeszła. Choć ją zwiastuje rosnący niepokój, rosnąca pustka wewnętrzna i coraz większy powiew świeżego tchnienia, choć niemoc ustępuje i dają się spostrzedz przejawy nowej siły, to jednak chwila ostatecznego przełomu duszy współczesnej jeszcze nie nadeszła; blizkiem jednak jest jej przyjście i idzie już radosne jej zwiastowanie z za kresów krainy ducha. Dziś rozbitą na szczątki, zróżniczkowaną duszę łączy w jedno żarliwe oczekiwanie: trwoga, cierpienie, przeczucie, szukanie zmiany, burze i cisze przedburzowe, łączy ją melodya tęsknoty, nastrój wyglądania.

W oczekiwaniu swojem, człowiek współczesny przechodzi wielką mękę wewnętrzną i wtedy tylko, jeżeli jest tak potężny, że ma w sobie pogodny spokój, wtedy tylko nie cierpi i silną rękę odpycha wszelkie uderzenia bezosobowego świata zewnętrznego. Zazwyczaj jednak jednostka nie posiada owej odporności ducha, chwieje się, łka, po chwili upojenia przychodzą długie dnie goryczy i rozpaczy, i tylko usta spalone a oczy niespokojne mówią, że duch, co w nich czuwa, łaknie i nie może znaleźć ukojenia.

Motywu psychiki współczesnego człowieka nie wciela Wasserman w symbol syntezy. Nie, on go snuje na tle zwykłej powieści „obyczajowej". Postaci jego, to przechodnie dnia, różniący się od innych zwiększonem napięciem wewnętrznej tęsknoty. Rysunek ich uwydatnia kontur motywu przewodniego. W tem wypowiada się wielka jego zdolność odtwarzania psychologicznego. Łączy on poszczególne linie i barwy z tłem ogólnem bez tak ulubionego przez Niemców patosu deklamacyjnego.

Artyzm Wassermana jest szczery. Nie jest jednak zbyt oryginalny. Wasserman nie w jednem przypomina Holländer'a, jest tylko bardziej od niego uczuciowo wrażliwy; wiele też bierze od Schlaf'a; różni się odeń tem jednak, że jest bardziej przy ziemi. Opowieść swą snuje on zręcznie, władając umiejętnie formą; niektóre sceny wychodzą u niego wytwornie i miękko. Powieści jego to obrazy współczesnej kultury wewnętrznej, obrazy dzisiejszego ześrodkowania głodu duchownego na upragnieniu jakiejś innej treści. Tło ich—to zwykłe codzienne życie południowych Niemiec lub Austryi. Wasserman pozostawia w cieniu strony zewnętrzne życia, używa ich tylko, jako podłoża do wywołania drgnięć duszy, a czyni to z głęboką powagą i inteligentnem odczuciem. Brak mu tylko, jakem to już zauważył, żywszego, bezpośrednio twórczego napięcia, naskutek czego maluje on życie psychiczne umiejętnie, kunsztownie, lecz bez dodania cząstki swej duszy, bez opromienienia świetlaną jasnością swego bólu i niepokoju. To osłabia wrażenie, jakie wywierają jego powieści.

Zbigniew Brodzki.

SPRAWY EKONOMICZNE

MAŁOROLNI

(Dokończenie.)

Kredyt włościan powinien być oparty na znajomości ich warunków bytu, powinien uwzględniać ich potrzeby materyalne i moralne, powinien oddziaływać na rozwój kultury nietylko gospodarstw, ale i ich właścicieli. Przy dobrej woli społeczeństwa zorganizowanie podobnej instytucyi nie byłoby trudnem. Jeżeli przejrzymy sprawozdanie naszych dzisiejszych kas gminnych, łatwo spostrzeżemy, że pomimo wszelkich wad, pomimo że działalność ich nie odpowiada wymaganiom ludności, rozporządzają one znacznym kapitałem. Według sprawozdania urzędowego, po dzień 13 stycznia 1900 r. wszystkie kasy gminne w Królestwie Polskiem, liczyły kapitału zakładowego 1,364,338 r. 72¾ kop., ofiar na rzecz kas 10,983 rb. 56¼ kop.—czystego zysku 5,117,525 rb. 80¾ kop. razem 6,482,848 rb. Wraz z innemi pozycyami (procenty niewypłacone od wkładów, sumy przyjęte w depozyt, sumy osób prywatnych, kary, sumy należące do małoletnich, pożyczki uiszczone i t. d.) kasy gminne miały kapita-

łów 37,659,839 rb. $73\frac{3}{4}$ kop. *) I kapitały te leżą bez pożytku, a część ich w obrocie, mało przynosi korzyści tej klasie ludności, której własność stanowi. Kapitały leżące w kasach gminnych mają posłużyć jako ważny fundament dla instytucyi kredytowej, mającej na celu interesa tej właśnie klasy ludności. Pomimo ogólnego, ciężkiego położenia są szczęśliwcy, którzy, chodząc bez butów i przymierając głodem, umieją i dziś zaoszczędzić część zapracowanych pieniędzy. Pieniądze te, wedle przyjętego zwyczaju, albo chowają bezużytecznie pod strychem albo oddają na kwitki podpisane krzyżykami i tracą, lub też obracają nimi, oddając na wysokie procenta głodniejszym braciom. Regulacyę, tych oszczędności mogłyby przyjąć na siebie, posiadające ogólne zaufanie kasy włościańskie, ściągając zaoszczędzone kapitały, płacąc za nie odpowiednie procenta i skierowując je ku zaspokojeniu ogólnych potrzeb ludności. Połączone grosze formują wielkie kapitały, przy ich pomocy można przeprowadzić rzeczy niemożliwe dla pojedynczych posiadaczy drobnych kapitalików, można stworzyć jak najtańszy kredyt, który będzie stanowił poważną dźwignię w rozwoju kultury naszych gospodarstw małorolnych.

W państwach europejskich rolę podobną odegrały kasy Reifeisena. Zapoczątkowane w latach głodu 1846/7 przez Fryderyka Wilhelma Reifeisena w celu przyjścia z pomocą ludności biednej, uregulowane w ustawie 1868 r. rozwinęły się nader szybko. W roku 1870 liczono ich 20, a w 1898 liczba ich dosięgła 12,061, z milionem członków. Obrót tych kas pożyczkowo oszczędnościowych w 1897 r. wynosił 680 milionów marek z kapitałem 100 milionowym. Kasy te opierają się na małych grupach od 500 do 3,000 członków, łączą następnie swoje kapitały dla prowadzenia wielkich przedsiebiorstw i zastępują wielkie rządowe lub akcyjne instytucye bankowe. Przy ich pomocy stanie się możliwem dla małorolnego zastosowanie wszelkich zdobyczy nowoczesnej techniki rolnej. Kasy włościańskie, przyuczając ludzi do wspólnego działania, będą zarazem szkołą wychowawczą dla naszego ludu, który dziś już czuje i rozumie potrzebę łączenia się we spółki handlowe, celem poprawienia warunków swojej egzystencyi.

Gospodarstwo małorolne w dzisiejszych warunkach niemoże konkurować dobrocią swych produktów nietylko z zagranicą, ale nawet z naszą słabo rozwiniętą produkcyą większej i średniej własności. Skoro jednak małorolni właściciele stworzą kapitał i zdobędą tani kredyt, udział ich w produkcyi krajowej przyjmie zupełnie inną formę. Staną się dla nich możliwe spółki mleczarskie, maślarskie, opasarnie, a w następstwie zbiorowe magazyny, elewatory, wspólne maszyny rolnicze, sztuczne nawozy i stacye doświadczalne. Przy 37 z górą milionach kapitału, spoczywającego w kasach gminnych, marzenie to nie jest niedościgłem; złoto leży przed nami, aby je jednak wydostać z ziemi, trzeba więcej nauki, więcej kultury. Przy dzisiejszym nawet stanie oświaty włościanin okazał już pewne zdolności do stowarzyszeń, co potwierdza pomyślny rozwój spółek typu „Jutrzenka" w Kieleckiem i formowanych na ich wzór innych w całym kraju. Przy oczekiwanem podniesieniu oświaty zdolności te mogą się łatwo rozwinąć, i być może, przyszłość naszego kraju, będzie z czasem należała w zupełności do małorolnych, którzy podnosząc kulturę ziemi, oszczędzą krajowi dwudziestu paru milionów, wydawanych corocznie na produkta rolne, sprowadzane z za granicy. Miliony włościan, cieszących się dobrobytem, spotrzebują nadmiar produkcyi naszego przemysłu, który w ten sposób uniezależni się łatwiej od zmian systemu celnego i nie będzie podlegał tak gwałtownym kryzysom. Wreszcie oświecony i syty rolnik przysporzy nam inteligentnych i zdrowych obywateli kraju, o których trudniej z każdym rokiem.

St. Staniszewski.

*) Pietkiewicz, Siły i środki ludu naszego.

KRONIKA

Sprawy społeczne i polityczne. W Wilnie zaczynają się pojawiać obok rossyjskich napisy polskie na szyldach. Poczta wysyła listy adresowane po polsku.

— Rządcy i administratorowie domów w Warszawie postanowili założyć stowarzyszenie wzajemnej pomocy, którego członkiem będzie mógł zostać, bez różnicy wyznania, każdy prowadzący zarząd lub administracyę domu.

— „Nowosti" zapewniają, że projekt ministra Bułygina usuwa żydów od wszelkiego udziału w przedstawicielstwie narodowem, gdyż wobec istniejących ograniczeń dla żydów „byłoby niekonsekwencyą przyznanie im prawa udziału w przedstawicielstwie narodowem".

— Inżynier A. Wolski złożył raport izbie radnej przemysłowców żelaza, w którym powiada: „Finansowo-ekonomiczne położenie Rosyi, jak widać z przytoczonych cyfr, jest tak ciężkiem i niebezpiecznem, że niezbędną jest nader energiczna, zgodna i bardzo wytrwała praca wszystkich oświeconych i silnych żywiołów społeczeństwa rosyjskiego, jako też wybitnych jednostek, ażeby odwrócić katastrofę finansowo-ekonomiczną i jej konsekwencye polityczne.

— Czytamy w „Rusi", iż pod koniec maja projektowany był wyjazd do Królestwa Polskiego znacznej grupy przedstawicieli społeczeństwa rosyjskiego w celu opracowania spraw, poruszonych na zjeździe moskiewskim. Wypadki ostatnich czasów—mówi „Ruś"—zmusiły do odłożenia tego wyjazdu na pomyślniejszą chwilę, należy jednak mieć nadzieję, że zjazd ten, mający ogromne znaczenie dla sprawy wzajemnego zbliżenia się lepszych sił kulturalnych narodu polskiego i rosyjskiego, zostanie mimo to w najbliższym czasie urzeczywistnionym.

— „Nowosti" donoszą, że sprawę Maksyma Gorkiego umorzono z braku cech przestępstwa politycznego.

— Gubernator lubelski, rz. r. s. Mienkin, odwiedził wieś Radecznicę w pow. zamojskim, powitany na granicy powiatu przez przedstawicieli władzy i straż honorową 20 włościan. W Radecznicy zebrali się wszyscy sołtysi i wiele włościan. Gubernator rozdawał broszury treści religijnej wraz z ostatniem ogłoszeniem generał-gubernatora warszawskiego; dziewczęta otrzymały w podarunku broszki, kolczyki, spinki. Gubernator rozmawiał z włościanami o ich położeniu religijnem, przyczem do katolików się zwrócił, ażeby nie ujawniali nieprzyjaźni względem prawosławnych, nie natrząsali się, nie dopuszczali gwałtów, gdyż w razie przeciwnym będzie zmuszony postąpić surowo z winnymi.

— Równocześnie z wprowadzeniem prawa o państwowem ubezpieczeniu robotników, mają być utworzone specyalne, miejscowe i okręgowe sądy rozjemcze dla rozstrzygania nieporozumień i zatargów między pracodawcami i robotnikami, poszkodowanymi na skutek nieszczęśliwych wypadków przy pracy.

— „Nowosti" donoszą o zebraniu 6,000 robotników na wyspie Wasilewskiej w Petersburgu, gdzie uchwalono zakończenie wojny i natychmiastowe zwołanie przedstawicieli narodu.

— Pruski minister spraw wewnętrznych zakazał przyjmować na roboty podczas lata małżeństwa polskie, przybywające z Galicyi lub z Królestwa.

— Komisya w sprawie reformy w nauczaniu rzemiosł, ma się zająć uregulowaniem stosunku majstrów do terminatorów zabezpieczeniem praw tych ostatnich przez kontrakty, zapewnieniem im zdobycia znajomości fachu w określonym czasie, ułatwieniem przy nauce, uporządkowaniem papierów, dotyczących wydawania świadectw na czeladników i usunięciem praktykowanych nadużyć.

Wiadomości urzędowe. Projekt zamiany kalendarza juliańskiego na zachodnio-europejski podniesiony znowu został w Petersburgu. Pobudkę tym razem dało ministeryum skarbu. Synod sprawę rozpatruje obecnie.

— Projekt ustawy wyborczej soboru Ziemskiego, który ma być wkrótce zwołany, przypuszcza że w Królestwie Polskiem jeden poseł przypadnie na 250,000 ludności. W takim razie byłoby ich około 40. Wybory mają się odbywać kuryami, między któremi będą: kurya włościańska (gmina) i większej własności. Prawyborcy będą wybierali wyborców a ci, zjechawszy się w mieście gubernialnem—posłów („Gaz. Pol.").

Sprawy szkolne. Ministeryum opracowało projekt obowiązkowego nauczania szkolnego małoletnich robotników fabrycznych, ale rozstrzygnięcie sprawy odłożono do czasu zwołania przedstawicielstwa narodowego.

— Rodzice dzieci, uczących się w Wilnie, otrzymali od władzy szkolnej kwestyonaryusz, zapytujący o narodowość i język ojczysty. Krok ten jest następstwem zamiaru zaprowadzenia w szkołach wileńskich wykładów języka polskiego lub litewskiego.

— Na skutek rozporządzenia ministeryum oświaty, profesorowie uniwersytetu warszawskiego w roku bieżącym, akademickim, nie będą otrzymywali delegacyj za granicę na studya specyalne.

— *Słowo* petersb. pisze: „W Niższym Nowogrodzie, na naradzie rady miejskiej i osób zaproszonych, pod przewodnictwem prezydenta miasta rozpatrywano sprawę przeniesienia do Niżnego wydziału lekarskiego uniwersytetu warszawskiego, jeśli ten uniwersytet będzie, jak o tem słychać, przeniesiony gdzieindziej. W razie sprawdzenia się pogłosek, rada postanowiła okazać pomoc przez ofiarowanie potrzebnej ilości ziemi pod budowę klinik.

Rozruchy. W powiecie morszańskim włościanie podczas jarmarku rozbijali sklepy i grabili towary—między innemi sklep monopolu wódczanego. Potem rzucili się na przyległe folwarki i rozbili kilka dworów. Były wypadki zabicia ludzi, wezwano wojsko. Ludność jest bardzo wzburzona.

— W „Rozwoju i Gońcu łódzkim" czytamy następujący komunikat urzędowy: „W położonej o osiem wiorst od Łodzi wsi Łagiewnikach, znajduje się dawny klasztor, który od paru lat został zamieniony na kościół parafialny. W kościele tym przypada doroczny odpust św. Antoniego, na który przybywa olbrzymia ilość pątników. W tym roku pielgrzymka z powodu trzeciego dnia Zielonych Świąt była liczniejsza, niż w innych latach, zebrało się więcej niż 12,000 pielgrzymów. Po nabożeństwie do będącego na służbie żandarma Jana Primoczenko dano znać, że od strony lasu Zgierskiego nieopodal wsi Modrzejewice idzie tłum, złożony z kilkuset ludzi. Żandarm zwrócił się do policyantów, stojących przed kościołem z żądaniem, aby wyszli na spotkanie zbliżających się. Strażnicy odpowiedzieli, że nie mogą opuszczać swego stanowiska, gdyż i tu mają do pilnowania przeszło 12,000 ludzi. Wtedy Primoczenko udał się sam i na drodze z Łagiewnik do Modzejewic ujrzał tłum żydów ze sztandarem czerwonym. Tłum spieszył w stronę Łagiewnik. Primoczenko zażądał, aby tłum się rozszedł, zaś tłum nawoływał żandarma, żeby przed czerwonym sztandarem uchylił czapki, a kiedy żandarm odmówił, posypał się na niego grad kamieni. Żandarm padł raniony; tłum dobył szabli i zadał mu ciężkie rany, wypruwając kiszki. Jan Primoczenko nie mógł strzelać do ludu, ponieważ znaleziono przy nim pustą pochwę od rewolweru, rewolwer zaś zostawił w domu u żony, gdzie go też odnaleziono. Żandarm zmarł.

— W Brześciu Litewskim rozlepiono następujące ogłoszenie gubernatora: „Zaburzenia, którym towarzyszyło rozbicie kilku sklepów i domów i które pociągnęły za sobą wmieszanie się siły zbrojnej, wywołały smutny wypadek użycia broni palnej, podczas czego raniono kilku obywateli. Przybywszy w dniu 31 maja (st. st.) do Brześcia, przedsięwziąłem środki przeciw powtórzeniu się zaburzeń, wypadki zaś z dn. 29 maja (st. st.) będą szczegółowo zbadane przez władze cywilne i wojskowe. Winni poniosą karę wedle prawa. Wzywam ludność, aby powróciła do pracy pokojowej. Zamknięte sklepy i zakłady mogą śmiało prowadzić swą działalność z zupełnem przekonaniem, że dla ochrony osobistego i majątkowego bezpieczeństwa przedsięwzięte zostały środki najenergiczniejsze".

Hygiena i zdrowie W Tomsku według doniesienia „*Rus. Słow.*" było kilka wypadków cholery. Warunki tego miasta są w najwyższym stopniu niehygieniczne

— W Manchester zmarł na dżumę człowiek, który przybył z Buenos Ayres przez Hamburg.

Prasa. Zeszyt czerwcowy *Slovanskego Prehledu* zawiera ciąg dalszy rozprawy Rudolfa Broża „o prądach politycznych w Polsce współczesnej".

— Mylną—jak donosi korespondent „Kur. War.— okazała się wiadomość o uzyskaniu koncesyi na wydawanie pisma polskiego w Wilnie. Dotychczas nikt jeszcze takiego pozwolenia nie otrzymał.

— p. H. Erlich otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie miesięcznika *Przewodnik Techniczny* mającego zawierać wiadomości o wykonanych lub zamierzonych robotach technicznych.

Konkursy. Na konkursie Rolnika i Hodowcy na dwa artykuły z zakresu rolnictw i hodowli otrzymali nagrody: dr W. S. Karpiński i hr. Tomasz Potocki.

Poczta i telegraf. Z Petersburga donoszą, że sprawa języka polskiego w depeszach nie jest jeszcze ostatecznie roztrzygnięta i będzie przedmiotem obrad specyalnej komisyi.

Wiadomości ekonomiczne. W ostatnich czasach nafta galicyjska z powodu tańszego przewozu zaczęła wyrugowywać z Niemiec naftę kaukazką. Przewóz nafty rosyjskiej z Baku do Poznania wynosi 5,98 marek na 100 kilogramów, zaś przewóz tej samej ilości z Galicyi—3,19 marek.

— Przy warszawskiem stowarzyszeniu techników utworzyła się nowa sekcya p. n. „Wydział urządzeń zdrowotnych użyteczności publicznej".

— Magistrat warszawski zawiadomiony został bezimiennie, że w sklepach rzeźniczych znajduje się dużo mięsa końskiego. Autor listu kończy go słowami: „boję się otworzyć jatki z mięsem końskiem, a także podpisać się, gdyż wówczas otrzymałbym krwawą zapłatę nożami".

Strajki. Służba męzka i żeńska w kawiarniach żydowskich urządziła bezrobocie. Właściciele zgadzają się na wszelkie ustępstwa, z wyjątkiem skrócenia dnia roboczego.

— „Kur. Kal." donosi, że w ubiegły piątek wśród robotników fabryk Schlösserowskich w Ozorkowie wybuchły poważne zaburzenia. Wojsko wezwane użyło broni. „Neue Lodzer Zeitung" podaje następujące szczegóły: „W tkalni Schika Waldmana przed 14 dniami wynikł strejk, który ukończono polubownie. Robotnicy otrzymali 15 proc. podwyżki. W kilkanaście dni potem tkacze powtórnie zastrajkowali, żądając 43 proc. nowej dopłaty, a kiedy Waldman odmówił, prosili o zapłatę za dni 14 i zwolnienie ich od zajęć. Po odpowiedzi odmownej, zebrała się gromada ludzi około 1,000 osób, żądając natychmiastowego uregulowania należności, która im została wypłaconą, a fabrykę zamknięto. Tłum następnie udał się do Schloeserowskiej fabryki, domagając się wypłaty za dni 14, a po odrzuceniu przez zarząd fabryczny powyższego żądania, dopuścił się szeregu wykroczeń, którym kres położył dopiero oddział kozaków. Przy wymianie strzałów, jakie miały miejsce, zraniono znaczną liczbę robotników, jednego oficera i jednego kozaka. Wskutek powyższych wydarzeń wezwano do Ozorkowa gubernatora kaliskiego i gubernialnego inspektora fabrycznego. Robotnikom fabryki Waldmana wręczono równocześnie z wypłatą papiery i uwolniono. Fabryka została zamknięta na czas nieograniczony".

Katastrofy. D. 17 czerwca nad Lwowem oberwała się chmura; miasto niegło literalnie zatopieniu; ludzie chronili się na dachy. Szkody olbrzymie.

Zmarli: profesor Jan Mikulicz Radecki, słynny chirurg, w Wrocławiu, w wieku lat 55.

— Herman Wissman, znany podróżnik afrykański zginął przez nieostrożność na polowaniu w Styryi.

— Tomek, znany historyk czeski.

OFIARY.

Dla nieszczęśliwych zamiast upominku imieninowego S. S. i S. D. rb. 100; w rocznicę śmierci syna F. S. rb. 5.

Na głodnych m. Warszawy: Aleksander Malcew, naczelnik włościański rb 2. Leonid Szołntiński, kupiec rb. 10. Piotr Szafranew, kupiec rb. 3—mieszkańcy sioła Suzuna.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 8 Іюня 1905 г. Warszawa. Druk K, Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.